

PISMO RUCHU TWÓRCZEGO OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH

FILANTROP

n a s z y c h c z a s ó w

Nr (310) 7 • Poznań • wrzesień 2020 • Nr indeksu 327948 • ISSN 1231-8876



**Pawełek w górach łomnickich.
Więcej w artykule „Pięć dni wolności”.
Str. 28 i 29**

FINANSUJĄ



Państwowy Fundusz
Rehabilitacji Osób
Niepełnosprawnych



POWIAT
POZNAŃSKI

PATRONUJĄ



W NUMERZE:

- Wielkie spotkanie
niewidomych** str. 4
- Wystarczy krok,
by sięgnąć dna** str. 5
- Wakacje trzech pokoleń**
str. 6
- Olimpiada tylko nasza**
str. 9
- Dni pełne radości**
str. 14 i 15
- Na deser Pałac Kultury
i Nauki** str. 18 i 19
- Z wizytą u pajaków**
str. 20 i 21
- Pierwszy dzwonek**
str. 28
- Moje losy** str. 32-35
- Kondrat Puszorek
już po karantannie** str. 45

Bezpieczne zajęcia

Do końca marca przyszłego roku trwał będzie projekt pod tytułem: „Bezpieczne WTZ i rehabilitacja społeczno-zawodowa osób z niepełnosprawnościami”, którego głównym celem jest zapewnienie ochrony zdrowia i życia uczestników zajęć prowadzonych przez warsztaty terapii zajęciowej w ramach zadań zleczanych przez PFRON. Ponad 17 milionów złotych z Europejskiego Funduszu Społecznego i budżetu państwa zostanie przeznaczone na zakup niezbędnych środków ochrony osobistej.

7 sierpnia w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej podpisana została umowa z Państwowym Funduszem Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych na realizację wyżej wymienionego projektu. W uroczystym podpisaniu umowy udział wzięli: Marlena Małąg, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej oraz Krzysztof Michałkiewicz, prezes Zarządu PFRON.

Jak informuje PFRON, ze wsparcia będą mogły skorzystać organizacje pozarządowe oraz inne podmioty prowadzące warsztaty terapii zajęciowej, a także organizacje, które zawarły z PFRON umowy na prowadzenie w 2020 roku bezpośredniej pracy z osobami z niepełnosprawnościami. Pozyskane wsparcie finansowe umożliwi zakup środków ochrony jak: maseczki, przyłbice, rękawice ochronne czy środki do dezynfekcji. Realizatorzy zakładają, że wsparciem w ramach projektu zostanie objętych około 970 podmiotów prowadzących warsztaty terapii zajęciowej, do których uczęszcza przeszło 21 tysięcy osób w całej Polsce.

Dodajmy, że dzięki uczestnictwu w zajęciach rehabilitacyjno-usprawniających odbywających się w warsztatach terapii zajęciowej poprawia się sprawność fizyczna i psychiczna osób z niepełnosprawnościami, wzrasta ich samodzielność i zaradność życiowa (przyczyniają się do tego między innymi zajęcia organizowane w pracowniach gospodarstwa domowego i umiejętności społecznych), a ponadto zyskują one umiejętności niezbędne do podjęcia pracy. *Oprac. KK.*

Kompleksowa rehabilitacja

Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych informuje o wznowieniu rekrutacji do ośrodków kompleksowej rehabilitacji. Osoby z niepełnosprawnościami, zainteresowane podjęciem kompleksowej rehabilitacji w Ośrodku Rehabilitacyjno-Wypoczynkowym „Wielspin” w Wągrowcu, mogą wziąć udział w kolejnym naborze do projektu pod tytułem: „Wypracowanie i pilotażowe wdrożenie modelu kompleksowej rehabilitacji umożliwiającej podjęcie lub powrót do pracy”.

Projekt jest adresowany do

osób, które z powodu choroby lub wypadku utraciły możliwość wykonywania dotychczasowego zawodu i chciałyby zdobyć inną pracę, odpowiednią do ich zainteresowań i stanu zdrowia. Projekt – jak informuje PFRON – jest również szansą dla osób dotychczas nieaktywnych zawodowo, które chcą podjąć zatrudnienie. Zakłada wsparcie zawodowe (pozwala na uzyskanie nowego zawodu i utrzymanie zatrudnienia poprzez doradztwo zawodowe i szkolenia), psychospołeczne (pomoc w podźwignięciu się z kryzysu i psychoedukację), medyczne (poprzez przywrócenie utraconych funkcji lub ich

odtworzenie w możliwie jak największym do osiągnięcia stopniu).

Uczestnictwo w projekcie jest bezpłatne. Średni czas pobytu osoby zakwalifikowanej do ośrodka kompleksowej rehabilitacji to 3 miesiące, ale istnieje możliwość przedłużenia okresu pobytu. Osoby zamieszkujące województwa: wielkopolskie, pomorskie, zachodniopomorskie i kujawsko-pomorskie mogą zgłaszać się do Oddziału Wielkopolskiego PFRON kontaktując się telefonicznie z Patrycją Królak, tel. 505 449 767, e-mail: pkrolak@pfron.org.pl *Oprac. KK.*

Zakłady pracy w czasie pandemii

Jak wygląda ochrona pracowników z niepełnosprawnościami w czasie epidemii COVID-19? Czy mogą liczyć na odpowiednie wsparcie ze strony pracodawców? Tej kwestii postanowił przyjrzeć się Departament do spraw Programów – Wydział do spraw Badań i Analiz Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych opracowując raport z badania pod tytułem: „Działania związane z epidemią COVID-19 podejmowane przez pracodawców zatrudniających osoby niepełnosprawne”.

Celem badania – jak informuje PFRON w raporcie – było pozyskanie wiedzy na temat działań podejmowanych przez pracodawców, wynikających z epidemii COVID-19, w tym działań związanych z ochroną pracowników i utrzymaniem miejsc pracy osób niepełnosprawnych. Badanie miało zasięg ogólnopolski i zostało przeprowadzone w okresie od dnia 8 czerwca do dnia 19 czerwca, z wykorzystaniem

metody ankiety internetowej. W badaniu udział wzięli pracodawcy chronionego rynku pracy – zakładów pracy chronionej oraz zakładów aktywności zawodowej, których adresy e-mail były zarejestrowane w elektronicznym systemie obsługi dofinansowań i refundacji (SODiR), a także pracodawcy otwartego rynku pracy.

Pytania w ankiecie dotyczyły między innymi kwestii konkretnych działań, które zostały podjęte przez pracodawców w celu ochrony niepełnosprawnych pracowników w związku z zagrożeniem epidemiologicznym, zmian organizacji pracy czy zagrożeń dla działalności firmy z powodu pandemii COVID-19.

Przeprowadzone badanie wskazało, że w okresie między lutym a majem tego roku w przeszło 21 tysiącach firm zarówno chronionego jak i otwartego rynku pracy zatrudnienie utraciło 5.405 osób niepełnosprawnych. Wypowiedzenie współpracy dotyczyło najczęściej osoby posiadające orze-

czenia o niepełnosprawności w stopniu lekkim, rzadziej osoby ze znacznym stopniem niepełnosprawności.

Dwie trzecie badanych pracodawców zakładów pracy chronionej stwierdziło, że w wyniku epidemii sytuacja ekonomiczna ich firm uległa pogorszeniu. Nieliczne ZPCH-y przyznały w ankiecie, że z powodu epidemii ich sytuacja materialna się poprawiła. Zaledwie 22% spośród wszystkich badanych pracodawców zatrudniających osoby niepełnosprawne stwierdziło, że w związku z epidemią wykorzystuje środki ZFRON na dodatkowe wsparcie pracowników z niepełnosprawnościami. Środki te wykorzystywane są przede wszystkim na zakup przyłbic, maseczek, rękawic i płynów dezynfekujących. W przypadku zakładów aktywności zawodowej pogorszenie sytuacji ekonomicznej z powodu epidemii COVID-19 zauważyło aż trzy czwarte badanych. Z pełną treścią raportu można zapoznać się na stronie: www.pfron.org.pl *Oprac. KK.*

Zdjęcia ze spacerów z mamą



Jako uczestnik Warsztatu Terapii Zajęciowej w Swarzędzu brałem udział w zadaniu zdalnym, które polegało na udzieleniu odpowiedzi na pytanie: „Gdzie najchętniej pojechalibyście na wakacje”?

Moje koleżanki i koledzy w ankiecie wymieniali miejsca im najbardziej bliskie. Ja wymieniałem góry, bo właśnie krajobrazy górskie i muzykę góralską lubię najbardziej.

Niestety, w tym roku z powodu pandemii nie mogłem nigdzie wyjechać na wakacje. Ale często spacerowałem z mamą po Swarzędzu i robiłem zdjęcia – zachmurzonego nieba, ptaków w locie, tafli jeziora w blasku słońca.

To wszystko pięknie wygląda, a wcześniej tego nie zauważałem. Lubię podziwiać kwitnące kwiaty, leśną ciszę i śpiew ptaków.

MICHAŁ OGONIAK
UCZESTNIK WTZ W SWARZĘDZU



Wielkie spotkanie niewidomych

Wykształcenie i aktywność twoją szansą – tak brzmi hasło osiemnastej edycji międzynarodowej konferencji „Reha for the blind in Poland” poświęconej problematyce rehabilitacji osób z niepełnosprawnościami narządu wzroku, którą w dniach 11 – 14 września organizuje w Warszawie Fundacja „Szansa dla Niewidomych”. Zainteresowani mogą wziąć udział osobiście lub skorzystać z transmisji na żywo online.

Dorocznie odbywające się wielkie spotkanie niewidomych, słabowidzących i ich bliskich stanowi odpowiedź na

lukę w dostępie do informacji w zakresie nowoczesnych metod oraz narzędzi służących edukacji, pracy i rehabilitacji osób z dysfunkcjami wzroku.

Współorganizatorami wydarzenia są: Samorząd Województwa Mazowieckiego, Biuro Pomocy i Projektów Społecznych Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, The Center for the Blind in Israel, Fundacja Challenge Europe. Wydarzenie wspierają także: Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, Zespół Pedagogiki Specjalnej przy Komitecie Nauk Pedagogicznych Polskiej Akademii

Nauk, Mazowieckie Centrum Polityki Społecznej, World Blind Union, International Mobility Conference.

Wystąpienia gości, panele tematyczne i wystawy sprzętu tyflorehabilitacyjnego będą odbywały się w Pałacu Kultury i Nauki oraz w Centrum Nauki Kopernik. W pierwszym dniu spotkania zostaną ogłoszone wyniki ogólnopolskiego konkursu „Idol” popularyzującego zaangażowanie osób fizycznych i instytucji w kwestię wyrównywania szans osób z niepełnosprawnościami wzroku. Wystąpienia będą dotyczyły między innymi dostosowa-

wdrażanych na uczelniach wyższych pod kątem zapewnienia komfortowych warunków do nauki osobom z dysfunkcjami wzroku, audio-deskrypcji w kulturze i sztuce czy znaczenia organizacji pozarządowych w zwiększaniu świadomości społeczeństwa. Będą tradycyjne konkursy i zabawy – bezwzrokowe układanie kostki Rubika, gra w szachy brailowskie i mówiące, ping-pong dla niewidzących oraz wiele innych atrakcji.

Uczestnicy wydarzenia będą mieli również okazję zwiedzić warszawskie i mazowieckie muzea, a ponadto wziąć udział w manifestacji środowiska osób niewidomych pod hasłem: „My nie widzimy nic, a Wy – czy widzicie nas?”.

Szczegółowe informacje na temat konferencji uzyskana można dzwoniąc pod numer: (22) 510 10 99 lub pisząc na adres e-mail: reha_in_poland@szansadlaniewidomych.org **Oprac. KK.**

Rozwój pasji twórczych

Wlipcu tego roku Dom Pomocy Maltańskiej w Puszczykowie w powiecie poznańskim obchodził 20 lat działalności na rzecz osób z niepełnosprawnościami. Uczestnicy oglądali zdjęcia i wspominali minione chwile. W tym właśnie miesiącu zorganizowano również doroczne warsztaty artystyczne z udziałem uczestników minionej edycji Powiatowego Przeglądu Twórczości Artystycznej Osób Niepełnosprawnych „Złot Talentów”.

Warsztaty odbywały się przez 4 dni na terenie Fundacji im. Królowej Polski świętej Jadwigi w Puszczykowie. Swoje uzdolnienia artystyczne doskonaliło pod okiem profesjonalistów 17 osób z różnymi rodzajami i stopniami niepełnosprawności. Byli to mieszkańcy gmin: Tamowo Podgórne, Murowana Goślina, Czerwonak, Luboń, Mosina i Puszczykowo. Zajęcia warsztatowe obejmowały malarstwo, muzykę i teatr. Każdy uczestnik mógł sprawdzić oraz doskonalić swoje możliwości w tych dziedzinach sztuki.

Celem warsztatów było umożliwienie uczestnikom rozwijania zdolności twórczych w

malowaniu, śpiewaniu, tworzeniu krótkich inscenizacji teatralnych. Dzięki warsztatom uczestnicy mogli kształtować twórcze myślenie, rozwijać sprawność manualną, wyobraźnię plastyczną oraz orientację przestrzenną, poszerzać zdolność wnikliwej obserwacji natury i zjawisk przyrodniczych. Wiodącym tematem prac plastycznych była wła-

śnie przyroda, chociaż uwadze uczestników nie uszły również inne zagadnienia. Tworzono między innymi interesujące abstrakcje. Prace malarskie uczestnicy tworzyli farbami akrylowymi.

Na zakończenie przygotowali i przedstawili etiudę teatralną pod tytułem: „Jestem jaki jestem” ukazującą

bogactwo możliwości twórczych osób z ograniczeniami sprawności, które pomaga przełamywać stereotypy i dostarcza społeczeństwu wiedzy na temat ich zainteresowań i pasji. Realizatorem zadania, dofinansowanym ze środków Powiatu Poznańskiego, była Fundacja Polskich Kawalerów Maltańskich. **Oprac. KK.**



FOT. WWW.POWIATPOZNAN.PL



Karolina
Kasprzak
POZNAŃ

W samym środku lata, w samym środku miasta, w okolicach dworca, kobieta w średnim wieku idzie boso prosząc przechodniów o coś do jedzenia. Dzień wcześniej jadła kawałki nadpleśniałego chleba, który ktoś powiesił na kontenerze na śmieci. To nie kadr z filmu, a z życia. Z codzienności, przed którą wielu ludzi woli zasłonić oczy.

Trwa stan epidemii, wszyscy zachowują odległość od siebie, dystansują się, a jednocześnie omijają z daleka ubóstwo, biedę, bezdomność i strach. W najlepsze trwa też walka o utrzymanie obecnych miejsc pracy, bo wciąż grożą masowe redukcje etatów. Maleje procent sprzedaży poszczególnych produktów i usług, a konsumenci wolą robić zakupy przez Internet niż narażać się na tłok w centrach handlowych. Czy w dobie kryzysu gospodarczego kogokolwiek obchodzi los ludzi ubogich, bezdomnych, napiętnowanych i odrzuconych?

Miniony rok – według danych Głównego Urzędu Statystycznego – przyniósł istotną poprawę, bo skala ubóstwa w Polsce zmalała. Zdaniem przedstawicieli służb publicznych przyczyniły się do tego transfery socjalne. Ten rok z pewnością pokaże, w jak znacznym stopniu obniżył się poziom życia wielu Polaków. Ubóstwo nie zmalało, a znacząco wzrosło, na co wskazują liczne apele o pomoc nadsyłane do ludzi dobrej woli za pośrednictwem środków masowego przekazu. Nagła utrata pracy, a co gorsze, długotrwałe bezrobocie, pociągają za sobą całą machinę skrajnie trudnych zdarzeń. Niespłacone kredyty, pożyczki i inne zobowiązania, rosnąca inflacja... To wszystko nie napawa optymizmem. Próżno go zresztą szukać, kiedy ma się w perspektywie brak środków do życia.

Polskie społeczeństwo wciąż niewiele wie o ubóstwie. Jeśli wie, zna je tylko z teorii, której dostarczają rozmaite strony internetowe. Badacze tego zjawiska klasyfikują je jako materialne i niematerialne, ubóstwo relatywne (określające stopień

Wystarczy krok, by sięgnąć dna

nierówności w procesach podziału dóbr i usług w danej gospodarce), ubóstwo absolutne (związane nierozdzielnie z kategorią minimum socjalnego oraz minimum egzystencji) i tak dalej. Bieda, bezdomność i wykluczenie społeczne towarzyszą ludzkości od zawsze, jednak warto zastanowić się, co sprawia, że konkretnemu człowiekowi się przytrafiają. Kluczową przyczyną biedy i bezdomności jest alkoholizm. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia średnia spożycia alkoholu w Polsce przewyższa średnią europejską. Polacy najczęściej piją piwo i wódkę, rzadziej wino. Nadużywanie alkoholu w istotnym stopniu przyczynia się do pogorszenia sytuacji materialno-bytowej danej osoby, a także jej najbliższych, bo trzeba pamiętać, że alkoholizm dotyka nie tylko jednego człowieka, ale całego jego otoczenia społecznego, a zwłaszcza najbliższych. Alkoholicy i alkoholizmy na ogół nie przejawiają woli leczenia, więc w konsekwencji tracą to, co najcenniejsze.

W 2019 roku, według ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych, w Polsce żyło prawie 5 tysięcy bezdomnych kobiet i przeszło 25 tysięcy mężczyzn. Pozornie może się wydawać, że najczęstszą przyczyną bezdomności jest nieregulowanie zobowiązań czynszowych i w konsekwencji eksmisja z lokalu mieszkalnego. Jednak kiedy zgłębimy problem bardziej, przekonamy się, że wcale nie tak małą grupę osób pozbawionych dachu nad głową stanowią osoby zmuszone opuścić miejsce schronienia z powodu konfliktów rodzinnych. Rozpad związku małżeńskiego, alkoholizm, utrata pracy i społeczna bezradność – stanowią wspólny mianownik ubóstwa i bezdomności. Życie bez domu rodzinnego i stałego schronienia powoduje, że człowiek zostaje wykluczony ze społeczeństwa. Ludzie odsuwają się najdalej jak mogą od zapachu niemytego ciała, woni alkoholu i brudu. Pomoc instytucjonalna nie

zawsze okazuje się właściwym rozwiązaniem.

Osobom zmagającym się z ubóstwem i jednocześnie długotrwałą bezdomnością towarzyszy wyczerpana bezradność. Nie widzą możliwości zmiany swojej obecnej sytuacji, a przynajmniej nie takiej, która pozwoliłaby im na życie bez zobowiązań. Często rezygnują z proponowanych form schronienia w ośrodkach lub noclegowniach dla bezdomnych, gdyż nie potrafią i nie są w stanie dostosować się do panujących w nich zasad i reguł życia społecznego – w szczególności do przestrzegania zakazu nadużywania alkoholu. Ponieważ piją, tracą możliwość powrotu do normalnego życia. Mieszkają i śpią na ulicach, czasem w pobliżu dworców lub przydrożnych barów szybkiej obsługi.

Wśród bezdomnych kobiet są również matki. To nierzadko stosunkowo młode (przed 35 rokiem życia) osoby, które w przeszłości zawierały przypadkowe związki. Wychowane w rodzinach z problemem alkoholowym, bez kwalifikacji zawodowych umożliwiających podjęcie pracy, na ogół korzystające ze świadczeń pomocy społecznej, zmuszone były oddać własne dzieci pod opiekę instytucji opiekuńczych. Nie trudno się domyślić, jak dotkliwy wpływ – mimo alkoholizmu – miała na nie rozłąka z ukochanymi pociechami. Po emocjonalnej rozłące, jeszcze bardziej niż przed narodzinami dziecka, nie mają siły, aby walczyć ze swoimi słabościami i z przeciwnościami losu. Są zatem w grupie podwyższonego ryzyka, jeśli chodzi o zachorowalność na zaburzenia psychiczne. Nie tak dawno, bo zaledwie kilkanaście tygodni temu, media obiegała wiadomość o narodzinach dziecka na śmietniku. W altance przy śmietniku na warszawskim Ursynowie na świat przyszła córeczka 40-letniej bezdomnej i zmagającej się z problemem uzależnienia alkoholo-

wego kobiety. Jest to jej ósme dziecko. Znana pracownikom ośrodka pomocy społecznej nigdy nie skorzystała z proponowanych terapii odwykowych, wskutek czego nie ma najmniejszych szans na odzyskanie dzieci przebywających w rodzinach zastępczych.

Alkoholizm i bezdomność ciągnie człowieka na dno, od którego bardzo trudno się odbić. Ubóstwo jako jedyny czynnik również może być (a często i jest) przyczyną wykluczenia społecznego. W społeczeństwie nieustająco dominuje model rywalizacji i dążenia do ciągłego zaspokajania potrzeb materialnych. Słabsi i mniej majątni, a zwłaszcza ci, którym z ledwością wystarcza do kolejnej wypłaty, czują się gorzej od innych. Pomijając aspekt psychologiczny ubóstwa, warto podkreślić, że w najtrudniejszym położeniu są ci, którzy z powodów zdrowotnych nie mają możliwości podjęcia pracy zarobkowej, a więc osoby z niepełnosprawnością w stopniu znacznym. Znalezienie stałego zatrudnienia przez osobę z ograniczoną sprawnością graniczy z cudem, szczególnie w dobie pandemii, kiedy przedsiębiorcy liczą straty, szukają oszczędności i zmuszeni są zwalniać pracowników.

Alkoholizm jest przyczyną bezdomności, ale ubogim bądź zagrożonym ubóstwem można stać się z różnych przyczyn – niekoniecznie z powodu uzależnienia. Groźba ubóstwa, a co za tym idzie, społecznego wykluczenia wisi nad większością społeczeństwa kupującego wszystko na kredyt. Zadużają się nie tylko Polacy, ale i cała światowa gospodarka. W naszym kraju w podźwignięciu się z kryzysu finansowego nie pomagają liczne oferty pożyczek długo i krótkoterminowych, także dla zadłużonych. Wielu ludzi chcąc się ratować wpada w tak zwaną „pętlę zadłużenia”. Wówczas nie sposób mówić o ekonomicznym bezpieczeństwie i braku zagrożenia ubóstwem.

Wakacje trzech pokoleń

Pomimo przeciwności związanych z sytuacją epidemiologiczną w naszym kraju udało się po raz pierwszy latem od 3 do 14 sierpnia zorganizować w Warsztatach Terapii Zajęciowej w Doruchowie program „Aktywne wakacje z babcią”, współfinansowany ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego.

Organizatorem przedsięwzięcia była Fundacja Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych „Miłosierdzie” w Kaliszu, reprezentowana przez Stanisława Bronza, prezesa Fundacji.

Celem projektu była integracja międzypokoleniowa trzech grup społecznych, wspólnie działających: osób po 65 roku życia, dzieci oraz osób niepełnosprawnych, łącznie około 30 uczestników. Osoby te brały udział w warsztatach z ceramiki i wikliny, a także w innych działaniach artystyczno-plastycznych i komputerowych. Celem było odkrycie i rozwijanie uzdolnień do twórczości artystycznej. W tygodniowych turnusach piętnastoosobowych zajęcia prowadzone były przemienne w dwóch grupach. Gdy jedna grupa miała

zajęcia na basenie, to druga zajmowała się na przykład wyplataniem z wikliny. Całością opiekowali się instruktorzy WTZ, opiekunki i wolontariuszki.

Uczestnicy mogli korzystać z hali sportowej, ORLIK-a, salki na aerobik i sali doświadczania świata – w ramach współpracy z zaprzyjaźnionymi instytucjami: Gminnym Ośrodkiem Kultury w Doruchowie i Środowiskowym Domem Samopomocy. Smaczne obiady codziennie dostarczało Koło Gospodyń Wiejskich.

„Aktywne wakacje z babcią” zakończyły się wspólnym spotkaniem i omówieniem warsztatowego dorobku. Wręczono dyplomy i pamiątkowe zdjęcia. Uczestnicy zawarli nowe znajomości i uczyli się od siebie nawzajem. Poczuli się potrzebni i docenieni. Dla wszystkich był to czas spędzony miło i pożytecznie, a słowo „integracja” nabrało prawdziwego znaczenia.

ANNA BŁASZCZYK
KOORDYNATOR PROJEKTU
MAGDALENA
WOJCIECHOWSKA
KIEROWNIK WTZ



FOT. (4X) ARCHIWUM WTZ W DORUCHOWIE

Sport dla każdego

Polski Związek Bocci zaprasza dzieci i młodzież z aktualnym orzeczeniem o niepełnosprawności do uczestnictwa w regularnych treningach sportowych. Organizacja zapewnia darmowe treningi bocci na terenie Poznania oraz sprzęt niezbędny do ćwiczeń. Uczestnicy będą mieli zapewnione również ubezpieczenie podczas zajęć sportowych.

Zajęcia są bezpłatne i rozpoczynają się we wrześniu. Dofinansowuje je Polski Komitet Paraolimpijski. Dzięki zajęciom osoby z niepełnosprawnościami będą mogły rozwijać sprawność ruchową poprzez dobrą zabawę i sport, uczestniczyć w zawodach sportowych bocci, a także nawiązać nowe znajomości. Zajęcia poprowadzą fizjoterapeutki Katarzyna Statucka oraz Barbara Hohensee – instruktorki bocci oraz sędziny na międzynarodowych igrzyskach bocci współpracujące z kadrą Polski bocci i środowiskiem sportowców z niepełnosprawnościami.

Boccia wywodzi się z Włoch i Francji. Jest dyscypliną uprawianą w blisko 50 krajach. Należy do grupy sportów paraolimpijskich i jest najszerzej spopularyzowaną w Polsce dyscypliną paraolimpijską. Sprzęt wykorzystywany w grze to niewielkie bile wypełnione granulatem – jedna biała, sześć w kolorze czerwonym i sześć niebieskich. Gra polega na wyrzuceniu bili na boisko – odbywa się to poprzez rzucenie, kopnięcie lub rzut przy pomocy sprzętu wspomagającego (w kształcie rynny). Celem gry jest wyrzucenie na boisko bili białej, a następnie umieszczenie przy niej jak największej ilości bil jednego koloru.

Polski Związek Bocci jest organizacją zrzeszającą kluby sportowe bocci (do Związku należy między innymi Stowarzyszenie Sportowo-Rehabilitacyjne „Start” w Poznaniu). Prowadzi specjalistyczne szkolenia dla instruktorów i sędziów bocci, realizuje projekty współfinansowane ze środków PFRON.

Dodatkowe informacje na temat zajęć sportowych bocci uzyskać można e-mailem: k.statucka@wp.pl, hohenseebarbara@gmail.com oraz na stronie: www.polskabocci.pl Oprac. KK.

Tęsknimy do czasu sprzed pandemii

3 sierpnia, po długiej przerwie, wróciliśmy do naszego Warsztatu Terapii Zajęciowej w Śremie. Cały świat ogarnął strach przez wirusem, który spowodował nam przymusowy urlop. To wszystko dla bezpieczeństwa swojego i innych ludzi. Nie jest to łatwe, ale należy myśleć nie tylko o sobie, ale także o innych, którzy nas otaczają.

Zasady są proste. Wystarczy myć i dezynfekować ręce. Jeżeli kichasz, to w swój łokieć. Po skorzystaniu z toalety za każdym razem myjemy ręce wodą i koniecznie mydłem. Czystość i higiena są najważniejsze.

W naszym Warsztacie jesteśmy teraz podzieleni na dwie grupy. Nie możemy wrócić wszyscy jednocześnie. Mimo to bardzo się cieszymy. Zabrał się za prace, które bardzo lubimy i których nam bardzo brakowało. Już po trzech dniach powstały pierwsze rękodzieła: torby, ceramika, kartki, wiązanki.

Cieszymy się, że znów możemy się spotkać. Każdy z nas musi pamiętać o zachowaniu odpowiedniej odległości. Pilnujemy się nawzajem, aby każdy pamiętał o myciu rąk i dezynfekcji.

Podawanie ręki na przywitanie zastąpiliśmy słowem „cześć”. Stosujemy je tylko wtedy, jeśli przypadkowo mijamy się idąc z pracowni do WC bądź na przerwę (bo tylko wtedy możemy opuszczać pracownię). Mamy tylko jedną przerwę, podczas której jesteśmy rozsądzeni na świetlicy w taki sposób, aby nie być blisko siebie.

Mam nadzieję, że już niebawem wrócimy do rzeczywistości sprzed pandemii. A przyzwyczajenia dotyczące czystości zostaną z nami na zawsze. Wtedy będziemy mogli znów wspólnie spędzać czas, iść do naszego ogrodu „RAJ-KA” i znów organizować rozgrywki w boule. Czekamy z utęsknieniem na nową, starą rzeczywistość.

SŁAWOMIRA SOBIECH
UCZESTNICZKA W TZ W ŚREMIE



FOT. (3X) ARCHIWUM W TZ W ŚREMIE

Granty dla kadr

Domy pomocy społecznej bezpieczne w Wielkopolsce – tak brzmi tytuł projektu, którego celem jest podejmowanie działań związanych z przeciwdziałaniem oraz łagodzeniem skutków epidemii koronawirusa w domach pomocy społecznej. Projekt jest realizowany przez Samorząd Województwa Wielkopolskiego – Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej w Poznaniu w formule grantowej.

Granty mogą być przeznaczone na: wypłaty dodatków dla personelu domów pomocy społecznej (z wyłączeniem kadry medycznej, a uwzględnieniem osób pracujących przy łóżkach mieszkańców), zapewnienie miejsc pobytu czasowego dla kadry DPS-ów (w okresie 90 dni podczas realizacji projektu), organizację finansowania miejsc pobytu tymczasowego dla osób nowo kierowanych do domów pomocy społecznej jak również dla mieszkańców DPS-ów opuszczających szpitale, zakup testów w celu diagnostyki koronawirusa wraz z usługą ich wykonania w uprawnionej do tego placówce leczniczej, zakup środków ochrony indywidualnej dla kadry oraz za-

kup wyposażenia usprawniającego zapobieganie skutkom epidemii.

Podmiotami uprawnionymi do pozyskania grantu są domy pomocy społecznej uwzględnione w rejestrze domów pomocy społecznej prowadzonym przez Wojewodę Wielkopolskiego. Grant udzielany jest maksymalnie na okres 3 miesięcy w okresie kwalifikowalności, czyli w terminie od dnia 1 czerwca 2020 roku do dnia 30 listopada 2020 roku. Nabór wniosków o granty kończy się 31 października 2020 roku. Wypełnione wnioski można składać w sekretariacie Regionalnego Ośrodka Polityki Społecznej w Poznaniu z dopiskiem: Wniosek o powierzenie grantu w ramach projektu pod tytułem: „Domy Pomocy Społecznej bezpieczne w Wielkopolsce”.

Szczegółowych informacji na temat projektu oraz możliwości uzyskania grantu udzielają pracownicy Regionalnego Ośrodka Polityki Społecznej: Monika Zembrzycka, tel. (61) 856 73 34, e-mail: monika.zembrzycka@rops.poznan.pl, Barbara Hałaburdzin, tel. (61) 856 73 14, e-mail: barbara.halaburdzin@rops.poznan.pl
Oprac. KK.



Budowanie osobiwej wieży z wytłaczanek na jajka.



Próba zręczności rąk, czyli wkręcanie śrubek.



Kto ładniej rozmieści sztucce?



Wyścigi papierowych gąsienic.

Laptopy do nauki

Dzieci zamieszkujące na terenie powiatu poznańskiego, które są objęte pieczą zastępczą, otrzymały łącznie 96 komputerów przenośnych wysokiej jakości. Sprzęt został zakupiony w ramach przystąpienia powiatu poznańskiego do projektu pod tytułem: „Wsparcie dzieci umieszczonych w pieczy zastępczej w okresie pandemii COVID-19”, współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej.

Jak informują przedstawiciele Starostwa Powiatowego w Poznaniu, komputery trafiły do dzieci z Domu Dziecka w Kórniku-Bninie, Ośrodka Wspomagania Rodziny w Kobylnicy, Domu Rodzinnego w Swarzędzu, a także do rodzin zastępczych. Zakupiono również środki ochrony osobistej – 230 litrów płynu do dezyn-

fekcji, 5.500 maseczek oraz 6.000 sztuk rękawic ochronnych. Dom Dziecka w Kórniku-Bninie otrzymał ponadto 40 kombinizonów ochronnych, które przydadzą się w sytuacji ewentualnej kwarantanny.

Głównym celem wyżej wymienionego projektu jest zapobieganie i ograniczanie negatywnych skutków wystąpienia problemów związanych z koronawirusem w obszarze pieczy zastępczej. W przypadku wsparcia placówek i rodzin z terenu powiatu poznańskiego koszt całego przedsięwzięcia wyniósł 274 tysiące 201,80 złotych. Sprzęt został przekazany zainteresowanym na początku roku szkolnego. Posłuży dzieciom do nauki, w tym do nabywania i doskonalenia umiejętności informatycznych.
Oprac. KK.

Za nami II Olimpiada naszego Warsztatu Terapii Zajęciowej w Pobiedziskach. To święto sportu – takie tylko nasze – mieliśmy tuż przed wakacjami. Z tej okazji, jak to u nas, było dużo zabawnych konkurencji, między innymi: kto przejedzie więcej kilometrów w ciągu sześciu minut na rowerku stacjonarnym, gra w kulki, brakujące słowa do znanych przebojów. Pozostałe konkurencje prezentujemy na zdjęciach. Wszystkim towarzyszył ogrom emocji i śmiechu.

Zarówno uczestnicy jak i terapeuci konkurowali między sobą. Ale, jak to w sporcie, wygrywa tylko jedna osoba lub tylko jedna drużyna. Zwyciężyła grupa z pracowni edukacyjnej w składzie: Tomek, Dawid, Patryk, pod dowództwem terapeuty Tomka.

Zwycięzców uhonorowano statuetką naszej olimpiady zwaną „Oskarem WTZ”. Z tym zaszczytem musieli pożegnać się uczestnicy pracowni komputerowej, którzy w zeszłym roku zdobyli najwyższe miejsce podium, a w tym roku przegrali ze zwycięzcami tylko jednym punktem.

Nad całością czuwała pomysłodawczyni – nasza rehabilitantka Eliza Kamyszek, a poprawność zadań oceniało najbardziej sprawiedliwe i najlepsze jury na świecie – Marysia z Czesiem. Każda z pracowni przygotowała również zadania od siebie, żeby było trudniej i bardziej zabawnie.

Sport to świetna sprawa – łączy, wzmacnia i daje moc dobrej energii.

AMANDA KRZYSZCZAK

KAROL OSTAJEWSKI

UCZESTNICY WTZ W POBIEZISKACH

Olimpiada – tylko nasza



Czerwony woreczek „fruwa” do celu.



Przedstawiciel zwycięskiej drużyny prezentuje cenne olimpijskie trofeum: „Oskara WTZ”.

Lubię śpiewać, tańczyć

Gdy jestem w domu, to już w czwartek myślę o tym, co zjem w niedzielę na podwieczorek. Najbardziej lubię jeść owoce: maliny, truskawki, borówki, jeżyny, jagody, jabłka, brzoskwinie, winogrona z bitą śmietaną oraz pić napoje i koktajle owocowe. Owoce mają dużo witamin. Czasem zjadam czekoladę z orzechami albo ptasie mleczko o smaku śmietankowym.

Lato lubię za to, że jest ciepło i mogę robić zdjęcia przyrody: niezapominajek i wielu innych kwiatów. Ptaki to też ulubiony temat mojego fotografowania. Gdy jestem nad morzem, to podziwiam zachód słońca.

Nad morzem chętnie jem ryby, desery lodowe oraz lu-

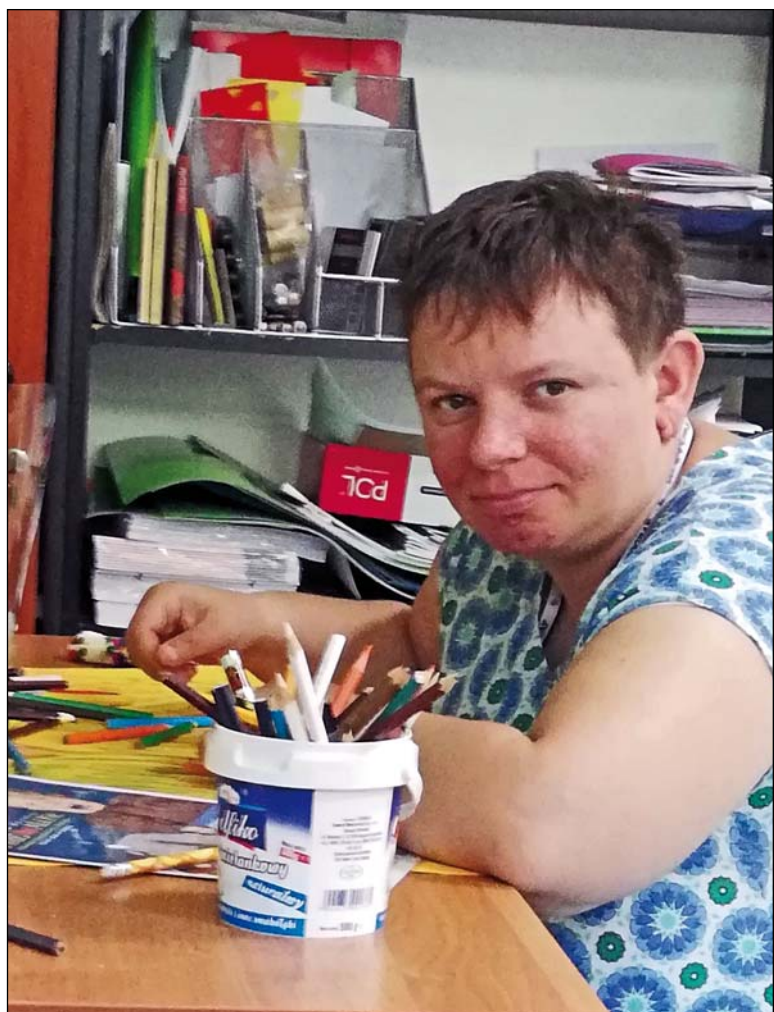
bię opalać się na plaży. Wieczorem lubię śpiewać przy ognisku i zjadać kiełbasę z ogniska, potańczyć przy dobrej, dyskotekowej muzyce granej na żywo i z płyt.

Morski wiatr jest chłodny – przy nim odpoczywam. Natomiast w dni, gdy pada, najbardziej lubię malować obrazki i patrzeć, co dzieje się na dworze. Cieszy mnie widok ludzi na moło.

Ogródki kawiarniane pełne są kolorowych kwiatów i ludzi. Po powrocie z wakacji pomagam w domu. Moje zadanie to robienie soków. Mam nadzieję, że rodzina jest z nich zadowolona i pije je ze smakiem.

MARLENA FIUT

UCZESTNICZKA WTZ W SWARZĘDZU



FOT. (4X) ARCHIWUM SPDT W SWARZĘDZU



Gry, które uczą życia

Gry planszowe, karciane i inne, od „Chińczyka” po „Młynek”, mogą być cennym zajęciem dla każdego, niezależnie od wieku. Ogromne bogactwo pomysłów gier utwierdziło mnie w przekonaniu, że znalazłem naprawdę interesującą pasję. Moja dzisiejsza kolekcja to około 250 gier o bardzo szerokim zakresie trudności. Fascynujący świat planszówek stał się ważną częścią mojego życia.

Postanowiłem więc popularyzować moje hobby w Bibliotece Publicznej w Pobiedziskach, gdzie spotkałem się z bardzo pozytywnym przyjęciem. Po czterech latach współpracy z Biblioteką i po wielu planszówkowych sesjach, również w świetlicach sołeckich, zostałem parokrotnie gościnnie zaproszony przez tutejszy Warsztat Terapii Zajęciowej. Tu zacząłem zajęcia od „Dobble”. Gra zrobiła furorę! Po „Dobble” graliśmy w „Myszki w Opałach”, „Gold Armada”, „Leo wybiera się do fryzjera” czy „Potwory do szafy”. Moja pasja trafiła na podatny grunt. Uczestnicy byli otwarci na udział w grach.

Okazało się, że planszówki to nic nadzwyczajnego w pobiedziskim WTZ. Jest tu organizowany corocznie turniej „Chińczyka”. Łączą się z tym wspaniałe emocje. Członkowie WTZ grają ze mną w „Grzybobranie”, „Gorący Ziemniak”, „Młynek”, „Pentago” i klasyczne gry karciane jak na przykład „Makao”. W pracy terapeutycznej w Warsztacie traktuję zajęcia z grami planszowymi jako kreatywną formę edukacji, gdzie gracze uczą się nie tylko sumowania punktów czy dokonywania prostych wyborów, ale też planowania strategii i podejmowania decyzji.

Osoby, z którymi pracuję, dzięki grze uczą się wartościowych cech charakteru i ważnej zdolności godzenia się z porażką. Interakcja między graczami staje się zabawą słowami, gdzie gracze spontanicznie sygnalizują swoją przewagę albo rewanżują się. Uświadamiam graczom, że gra nie zawsze jest sprawiedliwa, prawie zawsze jest w niej coś zaskakującego. Gra to tylko gra, ale też przygoda. Gry wywołują przez to niezwykle emocje, ale uczą też dystansu do siebie. Dla mnie istotne jest postępowanie graczy wobec siebie nawzajem. To, czego nauczają się grając

i przebywając ze sobą, ma wartość w funkcjonowaniu społecznym i dalej w ich zwyczajnym życiu.

Gra planszowa ma taką przewagę nad innymi rozrywkami, że zaprasza do tworzenia, działania i zaskakiwania innych w ramach swoich zasad. Każda rozgrywka jest inna. To decyduje o jej atrakcyjności. Jeśli moi gracze chcą rewanżu następnego dnia, jest dla mnie jasne, że są w stanie podjąć walkę z trudnościami i sprawia im to satysfakcję. I to uważam to za największy terapeutyczny sukces w mojej pracy.

TOMASZ ZIÓŁKIEWICZ
TERAPEUTA WTZ W POBIEZISKACH



FOT. (3X) ARCHIWUM WTZ W POBIEZISKACH

Z całego serca życzymy...

Z początkiem sierpnia pożegnaliśmy przechodzącego na zasłużoną emeryturę naszego kierowcę, Andrzeja Czaińskiego, który przez 16 lat, każdego dnia bezpiecznie dowoził nas na zajęcia terapeutyczne w naszym Warsztacie Terapii Zajęciowej „Promyk” w Konarzewie.

Terapeuci wraz z uczestnikami przygotowali dla pana Andrzeja wiele niespodzianek i upominków. Były piękne i pełne emocji przemówienia, podziękowania, słodkości i wyjątkowe prezenty. Bogdan Maćkowiak, kierownik naszego WTZ, również podziękował panu Andrzejowi za wiele lat trudnej i sumiennej pracy, wręczając piękny zegarek z dedykacją od kolegów i koleżanek z pracy.

Był to dzień pełen wzruszeń i emocji. Jeszcze raz bardzo dziękujemy Panie Andrzejowi za te wszystkie lata pracy, cierpliwość i dobre słowo. Z całego serca życzymy dużo zdrowia, radości, wymarzonych podróży, dużo wypoczynku i spokoju.

KAMILA GIBKA
UCZESTNICZKA WTZ „PROMYK”
W KONARZEWIE



FOT. KAROLINA KASPRZAK

FOT. (2X) ARCHIWUM WTZ „PROMYK”

U mojej babci

W tym roku tydzień wakacji spędziłam u babci w Napachaniu. Długo przygotowywałam się do tego wyjazdu. Ustaliłam z mamą i babcią termin, wspólnie z grupą na warsztatach zrobiliśmy listę rzeczy, które będą mi potrzebne na wakacjach.

Bardzo cieszyłam się, że jadę do mojej babci. Przez cały tydzień dopisywała nam bardzo ładna, słoneczna pogo-

da; deszczu było niewiele, mogłam więc dużo spacerować. Niedaleko babci mieszka moja ciocia – często razem chodziliśmy na spacer i do sklepu na lody. To był bardzo udany wyjazd. Resztę urlopu spędziłam w domu, ale bardzo miło wspominam czas u babci. Z pewnością jeszcze ją odwiedzę!

MAŁGORZATA TUROWSKA
UCZESTNICZKA WTZ „PROMYK”
W OTUSZU



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Tworzyłam bukiety dla mamy

Zpoczątkiem sierpnia, po trzytygodniowym urlopie, wróciliśmy na warsztaty. Wypoczęci, pełni energii, gotowi do pracy. Często podczas rozmów w pracowniach wracamy do wspomnień o wakacjach, opowiadamy o swoich przygodach, wrażeniach i wspólnie spędzonych chwilach.

Mój urlop spędziłam w Rogalinie, mojej rodzinnej miejscowości. Jest to niewielka wieś w powiecie poznańskim, w gminie Mosina, tuż nad rzeką Wartą. W niewielkiej miejscowości, jaką jest Rogalinek, mamy niepowtarzalny, zabytkowy kościół drewniany, a także restaurację o nazwie „Skarpa”. W niedzielne popołudnia często wybieramy się tam z koleżanką na sernik i lody. Miejsce to jest spokojne i urokliwe.

Swoją urlop spędziłam też w domu, czytając książki, które przed rozpoczęciem urlopu wypożyczyłam z naszej biblioteki. Popołudniami, w ogrodzie, odpoczywając na kocu, czytałam te książki, uciekając w świat fantazji.

Wybrałam się też na spacer brzegiem Warty. Słuchałam szumu drzew i śpiewu pta-

ków. Zbierałam polne kwiaty, z których później wyplatałam wianki i tworzyłam bukiety dla mamy. Swoją wolny czas spędziłam również na rozmowach z najbliższymi i spotkaniach towarzyskich z przyjaciółmi. Jestem bardzo zadowolona i szczęśliwa.

Podczas moich wakacji nie było miejsca na nudę.

Wraz z końcem urlopu zaczęła pojawiać się tęsknota za warsztatowymi koleżankami i kolegami, za zajęciami w pracowniach i ulubionymi paniami, z pomocą których tworzę niepowtarzalne i wy-

jątkowe prace. Prezentuję je podczas konkursów. Cieszę się, że na warsztatach mogę tworzyć, a w swoich pracach pokazywać siebie i swoje emocje.

TERESA HOFFA
UCZESTNICZKA W TZ „PROMYK”
W KONARZEWIE



FOT. ARCHIWUM AUTORKI

Wakacje z rodziną

10lipca po całym roku systematycznej pracy wybraliśmy się na utęskniony i długo wyczekiwany urlop. Każdy miał swoje plany na ten czas. Ja razem z całą rodziną spędzałam urlop w domu. Wydawałoby się, że siedzenie w domu może być nudne i monotonne. Ale nie dla mnie.

Postanowiłam dobrze się wyspać. Codziennie wstawałam między godziną 10.30 a 11.00. Około godziny 13.30 całą rodziną zasiadaliśmy do stołu, żeby zjeść wspólnie obiad. Następnie wybierałam się do mojej babci Teresy, która mieszka na pierwszym piętrze, żeby razem z nią obejrzeć serial

turecki pod tytułem „Elif” (emitowany na kanale 1 Telewizji Polskiej od 8 maja 2017 roku). Po serialu z przyjemnością opalałam się na podwórku.

Po opalaniu przychodził czas na inne przyjemności, takie jak rozwiązywanie krzyżówek i łamigłówek logicznych typu Sudoku. Później znowu wybierałam się do góry, by razem z babcią obejrzeć kolejny serial produkcji tureckiej pod tytułem „Więzień miłości” (emitowany w Polsce od 19 lutego 2019 roku około godziny 17.15 na antenie TVP2).

Między godziną 19.00 a 20.00 zawsze miałam połączenie internetowe z WTZ w Konarzewie przez komunikator

internetowy o nazwie Messenger, aby z kolegami podzielić się moimi wrażeniami z każdego dnia.

Około godziny 21.00 łączyłam się z kolegą z innego warsztatu, z którym znam się już dość długo, żeby też z nim porozmawiać.

Zasypiałam około północy, ponieważ do tej godziny jeszcze oglądałam telewizję. Zawsze znajdowałam jakieś programy telewizyjne, które mnie interesowały. Uważam cały urlop za spędzony bardzo miło, pomimo tego, że nigdzie nie wyjeżdżałam.

ALEKSANDRA TONDER
UCZESTNICZKA W TZ „PROMYK”
W OTUSZU



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Wakacje nad morzem

Nadszedł lipiec, a z nim wyczekiwany czas na urlop. Jak co roku, bardzo cieszył mnie ten wyjazd. Na tegoroczne wakacje wybraliśmy się do Unieścia, malowniczej miejscowości nadmorskiej, położonej na mierzei między Morzem Bałtyckim i jeziorem Jamno.

Znajduje się tutaj przystań rybacka przy nadmorskiej plaży. W porcie znajdują się kutry, można zakupić rybę prosto z połowu. Razem z mamą nocowaliśmy w ośrodku wczasowym „Bałtyk”. Na obiady chodziliśmy do pobliskich restauracji i barów. Obowiązywało zakrywanie ust i nosa ze względu na panującą nadal pandemię.

Spacerowaliśmy promenadą biegnącą wzdłuż plaży, opalając się i mocząc stopy w morskiej wodzie. Zmiana klimatu z miejskiego na morski doskonale wpłynęła na poprawę naszego samopoczucia. Tego roku woda była dość chłodna, dlatego nie zdecydowaliśmy się na kąpiel. Zwiedzaliśmy Mielno, podziwialiśmy miejscowe zabytki, m.in. pomnik Morsa i pomnik Lotników, którzy zginęli w katastrofie.

Popołudniami chętnie grałem z mamą w cymbergaja – grę zręcznościową, polegającą na odbijaniu krążka na płaskiej powierzchni. Często wygrywałem, ale również pozwalałem wygrać mamie, dając jej tak zwane fory. Bardzo miło wspominam nasz pobyt w Unieściu.

JAROSŁAW LIPIŃSKI
UCZESTNIK WTZ „PRÓMYK”
W KONARZEWIE



FOT. ARCHIWUM RODZINNE



Dni pełne radości

W słoneczny i ciepły poranek 11 sierpnia wybraliśmy się niewielką grupą do Żarnowca, małej miejscowości w gminie Dopiewo. Jest tam duży plac zabaw, boisko do gry w piłkę oraz wiaty z ławeczkami i miejscem go grillowania. Skorzystaliśmy z tych wszystkich atrakcji dzięki uprzejmości gospodarza, pani Marii.

Oddaliśmy się z zapałem grom i zabawom. Były to między innymi: gra w kolanko, karaokę, państwa miasta. Wielu emocji tego dnia dostarczył nam również mecz piłki nożnej i gra w kalambury. Nietypowe hasła przedstawiane tylko i wyłącznie przy pomocy gestów nie były łatwym zadaniem. Miło spędziliśmy czas bawiąc się przy wybranych

utworach muzycznych w wykonaniu ulubionych zespołów i wokalistów.

Wyjazd, który odbył się 14 sierpnia w drugiej turze, różnił się nieco od wyjazdu pierwszego. Obfitował w ekscytujące przygody, między innymi związane z fotografowaniem. Każdy miał okazję być tym, kim chciał. Opieka była fantastyczna, a muzyka folkowa przenio-

sła nas w odległe krańce Ziemi. Świeże powietrze i kontakt z naturą dopełniały poczucie głębokiego relaksu.

To były piękne dni, pełne emocji i radości. Dziękujemy serdecznie pani Marii za udostępnienie wiaty i bardzo miłe przyjęcie.

TERESA HOFFA
UCZESTNICZKA WTZ „PROMYK”
W KONARZEWIE



Dużo powie „mowa ciała”

W dniach od 10 do 12 sierpnia w naszym Warsztacie Terapii Zajęciowej w Konarzewie odbyły się warsztaty na temat roli i znaczenia komunikacji interpersonalnej, czyli porozumiewania się między ludźmi. Porozumiewamy się werbalnie – czyli słowami, ale też niewerbalnie, gestami, mimiką – czyli „mową ciała”.

Wykonywaliśmy ćwiczenia rozwijające pozytywne porozumiewanie się. Tworzyliśmy też plakaty, rozmawialiśmy o asertywności i poczuciu własnej wartości, a także o metodach radzenia sobie ze stresem. Mówiliśmy również o tym, co dzieje się z naszym ciałem, kiedy czujemy stres, w jaki sposób stres oddziałuje na nasze ciało i zachowanie. Zapoznaliśmy się z różnymi rodzajami zachowań, poczynając od asertywnych, szczerzych, śmiało wyrażających nasze prawdziwe przekonania i potrzeby, po zachowania uległe, polegające na ukrywaniu własnych myśli i własnej woli, podporządkowanej rozmówcy.

Dowiedzieliśmy się również,

jak ważny w komunikacji jest wzajemny szacunek. Podczas naszego spotkania wykorzystywaliśmy ponadto różnego rodzaju materiały: gry, karty ze zdjęciami, tworzyliśmy kolaże o komunikacji niewerbalnej. Podczas wspólnych warsztatów

poszerzyliśmy swoją wiedzę, a także zdobyliśmy nowe umiejętności.

Dziękujemy Katarzynie Hallickiej za przeprowadzone warsztaty oraz za optymizm i sposób prowadzenia zajęć,

dzięki któremu wspólnie spędzony czas był poświęcony nie tylko nauce i pracy; był bowiem zarazem ogromną przyjemnością.

KAMILA GIBKA
UCZESTNICZKA W TZ „PROMYK”
W KONARZEWIE



FOT. ARCHIWUM W TZ „PROMYK”

Miło wrócić do przyjaciół

Pandemia w Polsce zaczęła się 4 marca, ale ja w domu pozostałem od 12 marca. Do Środowiskowego Domy Samopomocy wróciłem 29 czerwca i wreszcie zobaczyłem się ze wszystkimi kolegami i koleżankami.

Gdy byłem w domu, to cały czas ćwiczyłem, aby nie wypaść z formy.

A gdy już można było spotykać się z rodziną podczas pandemii, to byłem na obchodach roczku mojej chrześniaczki oraz kilka razy z siostrą wybrałem się skuterem na lody.

Po tak długim czasie bycia w domu miło było w końcu wrócić do ŚDS, by znowu spotkać się ze wszystkimi znajomymi i przyjaciółmi.

KRZYSZTOF PAKULSKI
UCZESTNIK ŚDS W ŚREMIE



FOT. ARCHIWUM ŚDS W ŚREMIE

Kiedy to się skończy...

Wczasie pandemii spędziłem czas produktywnie. Chodziłem na spacer i byłem trochę w domu. Ten czas wspominam nie najgorzej, ale mogło być lepiej. W tym czasie zacząłem bardziej dbać o zdrowie, bo bez dobrego zdrowia nie jest się szczęśliwym.

W tym trudnym okresie wielu planów nie mogłem zrealizować; mam nadzieję, że będzie to możliwe w późniejszym okresie. Trudno mi było się ogarnąć. Czekalem, kiedy to się skończy, bo nie miałem co robić. Nuda tak mocno mnie ogarniała, że

szok! Chciałem gdzieś iść, a nie mogłem, bo były zaostrożenia. Zamknięte kino, basen, galeria handlowa. W sklepie było trzeba przed wejściem czekać w kolejce, a to jest najgorsze, co może być.

Ostatecznie jednak ten czas wspominam dobrze, bo uświadomiłem sobie, jakie zdrowie jest ważne. Trzeba się leczyć i nie zaniedbywać zdrowia, bo później leczenie jest żmudne i długie.

ADRIAN JĘDRZEJCZAK
UCZESTNIK ŚDS W ŚREMIE



FOT. ARCHIWUM ŚDS W ŚREMIE

Przyszedeł do nas koronawirus



FOT. ARCHIWUM ŚDS W ŚREMIE

Wmarcu przyszedł do naszego Środowiskowego Domu Samopomocy koronawirus, więc musieliśmy wiosną pozostać w naszych domach rodzinnych.

Przykro było rozstać się na kilka miesięcy z moimi koleżankami i kolegami. Chodziłam po zakupy, żeby nie zabrakło nam chleba i innych artykułów. A potem dokładnie myłam ręce, aby

usunąć wszelkie bakterie, siadaliśmy do stołu i czekaliśmy na śniadanie. Poza domem zawsze noszę maseczkę, bo epidemia wciąż trwa i nie mogę jej do domu przynieść. Oglądam telewizję i razem wszyscy czekamy, kiedy wreszcie ta epidemia się skończy.

KAROLINA MIELOCH
UCZESTNICZKA ŚDS W ŚREMIE



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Doczekać 105 lat...

Seniorzy żyją coraz dłużej. Potwierdza to osoba kapitana Romana Silskiego, uczestnika zajęć dla osób starszych, organizowanych w Filii nr 3 „Klubu Promień” Zespołu Dziennych Domów Pomocy w Poznaniu. R. Silski doczekał swoich 105 urodzin. Życzenia dostojnemu jubilatowi składała między innymi Aneta Niestrawska, wicewojewoda wielkopolski.

Silski urodził się 3 sierpnia 1915 roku w Bożymdarze. W latach 1937-1938 został powołany do wojska Korpusu Obrony Po-

granicza na granicy białoruskiej, a od 1939 roku – na granicy czeskiej. Po zakończeniu wojny całe swoje życie poświęcił służbie społecznej. Jest kombatantem od 1960 roku, a ponadto inicjatorem powstania Izby Pamięci Narodowej w Szkole Podstawowej nr 64 na osiedlu Żegrze w Poznaniu (źródło: www.poznan.uw.gov.pl).

Specjalny adres okolicznościowy skierował do jubilatę wojewoda wielkopolski. Podkreślił w nim uznanie dla służby ojczyźnie. R. Silski stanowi przykład, że w każdym życio-

wym działaniu należy kierować się wartościami najwyższymi i aktywnie działać na rzecz słabszych oraz poszkodowanych przez los.

Jubilat przyjmował liczne życzenia zdrowia i gratulacje. W uroczystości zorganizowanej 6 sierpnia w „Klubie Promień” wzięła udział również córka pana Romana – Róża. Bolesław Pawlicki zadedykował jubilatowi wiersz własnego autorstwa. Oprawę muzyczną uroczystości przygotował Rafał Stępniewski.

ROBERT WRZESIŃSKI



Gostyńskie Koło Polskiego Związku Niewidomych przygotowało wakacyjną niespodziankę dla swoich podopiecznych. Grupa 25 osób niewidomych i niedowidzących wraz z ich opiekunami i przewodnikami wyjechała na trzy dni do Warszawy. Pobyt w stolicy trwał od 18 do 20 lipca.

– Ten wyjazd to spełnienie marzeń części naszych podopiecznych – mówi Jolanta Kosowicz, zastępca prezesa Koła PZN w Gostyniu. – Odwiedziliśmy dużo miejsc w Warszawie. Między innymi zwiedziliśmy Stare i Nowe Miasto, sporo czasu spędziliśmy w Zamku Królewskim. Spacerowaliśmy po Krakowskim Przedmieściu. Gościliśmy w Pałacu Prezydenckim. Osobnym, relaksacyjnym punktem naszej wycieczki był pobyt w Parku i Pałacu w Wilanowie.

Artystycznych wrażeń dostarczyło nam zwiedzanie Galerii Narodowej „Zachęta”. Wszystkich urzekły warszawskie Łazienki, a zwłaszcza Pomarańczarnia i Pałac na Wodzie. Wiele emocji i przemyśleń pojawiło się w trakcie pobytu w Muzeum Powstania Warszawskiego. Na deser wjechaliśmy na taras widokowy Pałacu Kultury i Nauki. Mimo że uczestnicy mieli w nogach kilkadziesiąt kilometrów, to wszyscy byli zachwyceni Warszawą i bardzo zadowoleni z wyjazdu.

Jak podkreślają członkowie Koła PZN w Gostyniu, dla wielu był to pierwszy pobyt w stolicy. A ci, którzy byli już w Warszawie kolejny raz, zobaczyli nowe i nieznane miejsca. Wycieczka była też doskonałą okazją do integracji i wspólnej zabawy uczestników.

Wyjazd wakacyjny odbył się dzięki dofinansowaniu, które otrzymało Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Gostyniu ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, a także dzięki wkładowi własnemu Koła PZN i przy wsparciu PCPR w Gostyniu oraz Stowarzyszenia „DZIECKO”.

Zarząd gostyńskiego Koła PZN serdecznie dziękuje za wsparcie.

MIROŚLAW SOBKOWIAK

GOSTYŃSKIE KOŁO POLSKIEGO ZWIĄZKU NIEWIDOMYCH Z WIZYTĄ W WARSZAWIE

Na deser Pałac Kultury i Nauki



Kwietne rękodzieła



20 sierpnia w sali konferencyjnej miejscowego Ośrodka Kultury odbyły się warsztaty prac ręcznych dla seniorów z gminy Kleszczewo. Działanie to było zrealizowane przez Stowarzyszenie „Pomagam” jako jedno z zadań projektu: „Wypoczynek dla seniora w Gminie Kleszczewo”. Czas szybko upływał na wiązaniu makram ze sznurka. Pod kierunkiem terapeutek wszystkie panie twórczo pracowały.

Podczas kolejnych dwóch warsztatowych spotkań: 22 października i 19 listopada, autorki będą wykańczać i upiększać swoje rękodzieła – obrazy kwietników bogatych w roślinne motywy.

Projekt Stowarzyszenia „Pomagam” dotowany jest przez Gminę Kleszczewo.

MIROŚŁAWA RADZIŃSKA



Z wizytą u pajaków

11 sierpnia z grupą uczestników Środowiskowego Domu Samopomocy „Iskra” w Poznaniu i dwiema terapeutkami pojechałam na wystawę pajaków. Odkąd pamiętam, gdy byłam dzieckiem, przeraźliwie bałam się pajaków. Ten lęk mi pozostał aż do dnia wystawy. Często oglądałam filmiki o pajakach w Internecie, żeby się z nimi oswoić.

Długo jednak nie mogłam pokonać lęku. Bałam się, że mnie któryś pajak ugryzie i przeraża mnie ich owłosienie. Mimo to wystawa pajaków bardzo mi się podobała. Tego dnia postanowiłam, że spróbuję przezwyciężyć lęk i poprosiłam pana, który był opiekunem pajaków, żebym mogła się oswoić z pajakiem. Podał mi na rękę ogromnego, włocha tego pajaka – i... nic się nie stało.

Panu opiekunowi pajaków mogliśmy zadawać pytania na temat tych niezwykłych stworzeń. Po obejrzeniu całej wystawy wyszłam bardzo zadowolona. Na sam koniec poszliśmy na coś słodkiego i kawę. Kawiarnia nazywa się „Słodkie Historie 2017 Rok”. Mimo że we wtorek był upał, dzień z wizytą u pajaków spędziliśmy bardzo miło.

IZABELA ALBERTI



FOT. MARCIN KACZYŃSKI

Autorka tekstu Izabela Alberti.



FOT. (3X) JUSTYNA ŚROCZYŃSKA

Grałem na perkusji

Interesuję się muzyką i lubię jej słuchać. Każdego roku oglądam w telewizji transmisję Festiwalu Polskiej Piosenki, który odbywa się w Opolu. Chciałbym kiedyś uczestniczyć w tym wydarzeniu jako widz. Możliwość oglądania występów na żywo byłaby dla mnie ważnym doświadczeniem. Lubię również spacerować po obiektach muzealnych związanych z historią muzyki polskiej.

W ubiegłym roku odwiedziłem Muzeum Polskiej Piosenki, gdzie zobaczyłem, jak na przestrzeni lat zmieniali się sławni artyści. Przy pomocy słuchawek oraz prezentacji multimedialnej mogłem poczuć się jak uczestnik tego festiwalu.

Wielu artystów rozpoczynających przed laty karierę

muzyczną w Opolu nie ma już wśród nas. Na opolskim rynku znajduje się Aleja Gwiazd upamiętniająca ich zasługi w dziedzinie kultury.

W Muzeum Polskiej Piosenki mogłem poznać zasady dobierania ubrań dla artystów, a także poćwiczyć grę na trąbce i na perkusji. Przed laty były emitowane w telewizji takie programy, jak „Szansa na sukces” czy „Od przedszkola do Opola”, które stwarzały początkującym artystom możliwość debiutu na scenie.

Budynek Muzeum jest w pełni dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Posiada windę, więc nie miałem trudności z poruszaniem się po obiekcie.

KRYSTIAN CHOLEWA



FOT. MARCIN KACZYŃSKI



FOT. ARCHIWUM AUTORA



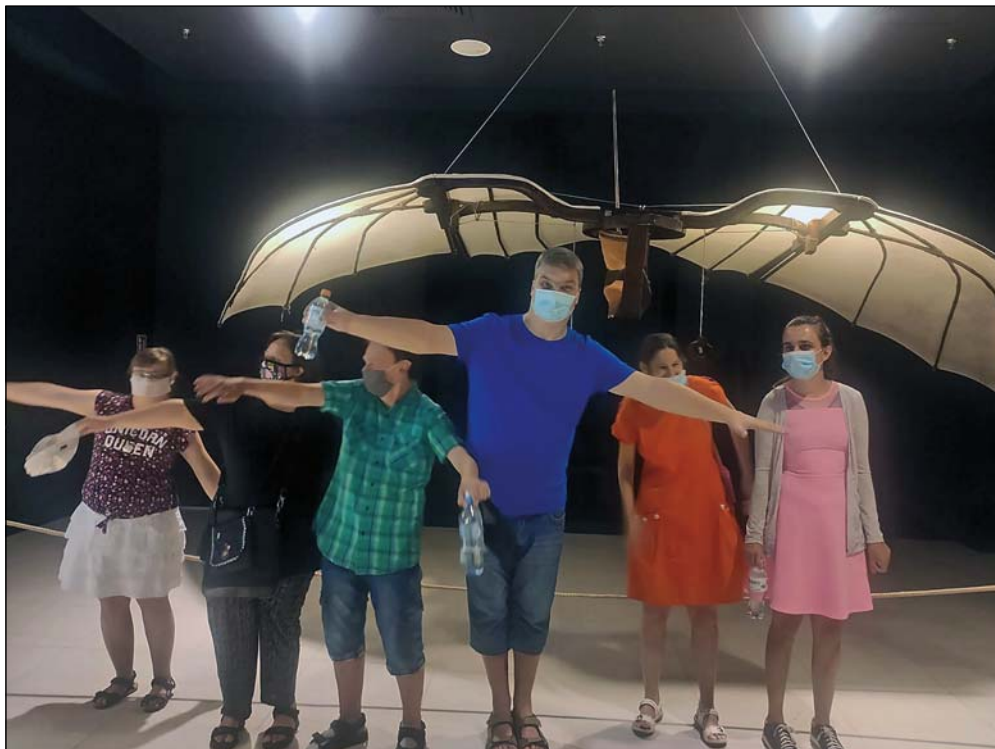
Autor tekstu Arek Nowicki.

U Leonarda da Vinci

Wśród 12 sierpnia wraz z koleżankami i kolegami z ŚDS „ISKRA” jechaliśmy tramwajem numer 7 do Galerii Malta na wystawę i do kawiarni. W Galerii była wystawa wynalazków Leonarda da Vinci, w tym także latających machin. Był on także wybitnym malarzem, rzeźbiarzem, matematykiem, filozofem i pisarzem.

Nazywany był prawdziwym człowiekiem renesansu. Był też niezwykle kreatywny. Na wystawie oglądaliśmy zdjęcia jego prac. Były tam również maszyny stolarskie, a nawet starodawny rower z drewna, ale nie wolno było go dotykać ani na nim jeździć. Po wystawie poszliśmy do kawiarni na naleśniki z czekoladą, była też kawa. Dzień był bardzo udany i bardzo mi się wszystko podobało. Mam nadzieję, że będę często chodził na takie wystawy.

AREK NOWICKI
UCZESTNIK ŚDS „ISKRA”



Wirtualne bieganie

Poznański „Bieg Na Tak”, organizowany przez Stowarzyszenie „Na Tak” i skupiający każdego roku liczną grupę miłośników sportowych wrażeń, w tym roku odbędzie się online w dniu 3 października. Z powodu pandemii COVID-19 po raz pierwszy od dziewięciu lat osoby z niepełnosprawnościami i sympatycy biegu nie będą mogli spotkać się razem na poznańskiej Malcie.

Wirtualna forma biegu będzie polegała na tym, że każdy zgłoszony uczestnik wydarzenia wystartuje 3 października w godzinach między 9.00 a 20.00 na wybranym przez siebie dystansie w dowolnej lokalizacji. Tradycyjnie będą biegi dziecięce, bieg bez barier na dystansie 1 kilometra (dla osób z trudnościami w poruszaniu się), bieg Fun Run na dystansie 5 kilometrów, bieg Run of Spirit na dystansie 10 kilometrów oraz biegi lub szybkie marsze z kijkami Nordic Walking i Walking na dystansie 5 kilometrów.

W tegorocznej edycji „Biegu Na Tak” nie będzie uroczystej publicznej dekoracji zwycięzców, ale będą pamiątkowe medale – każdy uczestnik otrzyma indywidualnie medal. Pakiety startowe i medale będą dostarczane na adresy uczestników podane w formularzach zapisów. Wyjątkowo w tym roku nie będzie numerów startowych. Zgłaszanie wyników będzie się odbywało poprzez elektroniczny panel zawodnika. Zawodnicy posiadający aplikację biegową po zmierzeniu czasu przesyłać będą zrzut ekranu smartfona lub link z wynikiem z aplikacji. Czas powinien być mierzony stoperem. Wyniki wszystkich uczestników zostaną opublikowane najpóźniej do 9 października na stronie www.natak.pl w zakładce „Bieg Na Tak”.

Przypomnijmy, że celem tego wydarzenia sportowego jest promowanie aktywności sportowej i zdrowego stylu życia, promowanie idei sportu dostępnego dla wszystkich, a także tworzenie osobom sprawnym i z niepełnosprawnościami równych szans uczestnictwa w zawodach sportowych. *Oprac. KK.*

Jest nadzieja,

W czasie pandemii przez 3 miesiące byłem zły, ponieważ myślałem, że nie ma już nadziei i nie spotkam się w naszym Warsztacie Terapii Zajęciowej w Chodzieży z kolegami i koleżankami. Później okazało się, że wreszcie jest ta

nadzieja i bardzo mnie to ucieszyło.

Gdy Warsztat był zamknięty, pomagałem rodzicom w wiosennych pracach w ogrodzie, a także w pracach domowych. Interesuję się fantastyką, filmami, książkami i grami kompu-

terowymi. Kocham muzykę, lubię grać na gitarze. Jeżdżę też na wycieczki rowerowe i na łyzworolkach. W rajdach rowerowych często towarzyszy mi tata. Zwiedzamy różne osobliwe miejsca w okolicznych lasach. Podczas wycieczek spotykamy różne zwierzęta: dziki,



mój warsztat trwa

jelenie, sarny, zające, lisy. Lubię w Warsztacie spędzać czas z przyjaciółmi i rozmawiać na różne tematy. W fantastyce ciekawią mnie wymyślone postacie i krajobrazy.

Podczas przerwy urlopowej razem z moim tatą zabraliśmy sąsiadów na kilka dni do Bydgoszczy. Chodziłem tam do szkoły przez siedem lat i znam to miasto dość dobrze. Zwiedziliśmy wspólnie ZOO, Stare Miasto, Wyspę Młyńską, Muzeum Wodociągów w zabytkowej wieży ciśnień, manufakturę cukierków i bardzo ciekawe muzeum dynamitu DAG Explosium. Wszystkim wyprawa do Bydgoszczy się podobała. Kiedy skończy się pandemia, chętnie bym pokazał Bydgoszcz koleżankom i kolegom z naszego Warsztatu.

MACIEJ WYSZOMIRSKI
UCZESTNIK W TZ W CHODZIEŻY



Wakacyjne podróże

Podczas tegorocznych wakacji odwiedziłem Jezioro Srebrne w miejscowości Januszkowice w gminie Zdzeszowice, w powiecie krapkowickim. Jest to ciekawe miejsce do wypoczynku, głównie ze względu na piękną okolicę, ale również z uwagi na kąpielisko jeziorne, możliwość pływania motorowerami czy gry w siatkówkę. Byłem tam pierwszy raz.

Januszkowice są oddalone od mojej wsi Ścigów o 30

kilometrów. Chociaż nie pływałem w jeziorze, spędziłem aktywnie czas na świeżym powietrzu. Nie czuję się na siłach, aby pływać w jeziorze. Do rehabilitacji wodnej wybieram basen miejski.

Odwiedziłem także Górę Świętej Anny – amfiteatr z parkiem krajobrazowym. Teren był dość stromy, podobny do terenu górskiego, ale przy pomocy moich asystentów oraz kijków Nordic Walking bez problemu dałem radę go pokonać. Góra Świętej Anny

– to ciekawy zakątek Opolszczyzny, o którym pisałem już czytelnikom „Filantropa Naszych Czasów”. Przypominę, że kiedyś jej niemiecka nazwa brzmiała Annaberg, a Ślązacy nazywali ją Chełmską Górą (jest położona w województwie opolskim, w powiecie strzeleckim, w gminie Leśnica, na Górnym Śląsku). Znajduje się w pobliżu autostrady A4 z Katowic do Wrocławia.

Wybrałem się również nad Jezioro Turawskie w moim

województwie, gdzie podziwiałem piękną pogodę. Czułem się tam prawie jak nad polskim morzem. Odwiedziłem kąpielisko Silesia w Opolu. Podczas moich wypraw ściśle przestrzegałem zaleceń sanitarnych – systematycznie myłem i dezynfekowałem ręce, nosiłem maseczki. Wojaże po znanych i nieznanach okolicach dostarczyły mi okazji do wypoczynku i relaksu oraz pomogły usprawnić układ ruchu.

KRYSTIAN CHOLEWA



FOT. (2X) ARCHIWUM AUTORA

Zapach pieczonych ziemniaków

Wrześień kojarzę z wykopkami, czyli zbieraniem ziemniaków, ale również z wybuchem II wojny światowej. 1 września tego roku obchodziliśmy 81 rocznicę jej wybuchu. W Polsce wykopki ziemniaka przypadają na początek jesieni, w ostatnich tygodniach września. Bulwy ziemniaczane wykopuje się metodą mechaniczną (kopaczką do ziemniaków) lub ręcznie.

Dawniej uczniowie w ramach zajęć lekcyjnych pracowali na polu u swoich nauczycieli. Zadanie to uczyło młodych ludzi szacunku do pracy. Praca była bardzo ciężka, ale młodzież wykonywała ją sumiennie. Ognisko i unoszący się w powietrzu zapach pieczonych ziemniaków rekompensowały całodzienny trud.

Chociaż jestem osobą z

widoczną niepełnosprawnością ruchową, nigdy nie odmawiam pomocy w prowadzeniu gospodarstwa domowego czy w pracach na polu. Kiedyś mieliśmy koło domu zasadzone ziemniaki – pomagałem je wykopywać. Zbieranie ziemniaków wpływało korzystnie na sprawność moich rąk, nie obciążało też nóg, co było dla mnie istotną sprawą. Jako dziecko

pomagałem też w soboty u ciotki. Ziemniaki były znakomitą pożywką dla kur, kaczek i świń. W październiku robiło się kopce w ziemi, by zimą magazynować w niej kartofle. Warto mieć własny ogródek z warzywami. Hodując oraz pielęgnując je mamy pewność, że są zdrowe i nie stanowią dla nas zagrożenia.

KRYSTIAN CHOLEWA

Pierwsza Segreguję śmieci

Staże zawodowe oraz projekty ukierunkowane na aktywizację osób z niepełnosprawnościami, wspierane między innymi przez PFRON, są ciekawą i niezwykle istotną formą pomocy dla ludzi kończących szkoły policealne lub wyższe. Jako osoba posiadająca orzeczenie o niepełnosprawności wiem, jak ważną rolę odgrywa specjalistyczna pomoc w podnoszeniu kwalifikacji oraz w zdobywaniu pierwszych doświadczeń zawodowych.

Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Opolskim rozpocząłem płatny staż w Oddziale Opolskim PFRON, gdzie zajmowałem się obsługą osób z niepełnosprawnościami ubiegających się o dofinansowanie kosztów nauki w ramach programu „Student”. Był to program ukierunkowany na wsparcie osób z niepełnosprawnościami w uzyskaniu wykształcenia, a jego głównym celem było wyrównanie szans w zdobyciu wykształcenia przez osoby niepełnosprawne oraz przygotowanie osób niepełnosprawnych do rywalizacji o zatrudnienie na otwartym rynku pracy.

Staż w Oddziale Opolskim PFRON wspominam bardzo dobrze. Wielką radością dla mnie była możliwość udzielania osobom z niepełnosprawnościami informacji na temat zasad i możliwości ubiegania się o wsparcie w ramach wyżej wymienionego programu. Problematyka rehabilitacji zawodowej i społecznej osób z niepełnosprawnościami jest mi bliska, więc cieszyłem się, że mogłem odbywać staż w instytucji zajmującej się ich wspieraniem.

Odbywałem staż w urzędzie skarbowym, gdzie z kolei poznałem specyfikę pracy w zakresie przyjmowania rozliczeń podatkowych od przedsiębiorców i osób fizycznych. Dużo nauczył mnie też staż realizowany w ramach Akademickiego Inkubatora Przedsiębiorczości – dowiedziałem się, jakie wymogi obowiązują przy zakładaniu działalności gospodarczej, co robić, aby utrzymać płynność finansową, poznałem również specyfikę funkcjonowania przedsiębiorstwa.

KRYSTIAN CHOLEWA

Segreguję śmieci

Wtrzeci weekend września przypada międzynarodowa kampania pod nazwą: „Sprzątanie Świata”, której celem jest zbiorowe sprzątanie śmieci zalegających poza miejscami przeznaczonymi do ich składowania oraz wzrost świadomości ekologicznej społeczeństwa. Segregacja śmieci to ważny obowiązek każdego człowieka. Niestety, niewiele osób go wypełnia.

W moim rodzinnym domu zbieramy kilka rodzajów odpadów. Są to: popiół z pieca, plastik, szkło, odpady mieszane i tak zwane odpady bio, czyli trawa, liście i gałęzie. Dwa razy w roku w mojej wsi przeprowadzany jest wywóz odpadów gabarytowych jak stare meble, lodówki, telewizory czy zużyty sprzęt elektroniczny. Cyklicznie

odbywają się zbiórki zużytych baterii. Stare ubrania wrzucamy do kontenerów do tego celu przeznaczonych. Przy kościele odbywa się zbiórka używanych przedmiotów, które następnie są wysyłane do krajów trzeciego świata.

Mamy piec na tak zwany eko-groszek, który jest praktycznym rozwiązaniem dla osób starszych i z niepełnosprawnościami, gdyż wystarczy groszku nasypać raz na tydzień. Wcześniej paliliśmy węglem i było to bardzo kłopotliwe, zwłaszcza gdy zламаłem rękę. Kiedy spaceruję lasem i widzę porozrzucane śmieci, zbieram je. Warto tak robić i tym samym dawać przykład innym, aby pomagali sprzątać naszą planetę.

KRYSTIAN CHOLEWA

Letnia akcja

Klub Honorowych Dawców Krwi „Luboniana” w Luboniu w województwie wielkopolskim zorganizował 16 sierpnia w Szkole Podstawowej nr 1 w tej miejscowości sto pierwszą akcję poboru krwi. Tego rodzaju akcje krwiodawcze są w obecnym czasie niezwykle istotne – z uwagi na braki tego bezcennego leku w regionalnych stacjach krwiodawstwa i krwiolęcznictwa.

Zgłosiło się 86 krwiodawców. Po wstępnej weryfikacji i badaniu do oddania krwi

dopuszczono 65 osób. Zebrano ponad 29 litrów krwi. Zbyszek Wojciechowski, prezes Klubu, zaznaczył, że mimo obostrzeń sanitarno-epidemiologicznych nie maleje liczba osób, które chcą oddawać krew. Podczas akcji chęć przystąpienia do Klubu HDK PCK „Luboniana” zadeklarowały 3 osoby. Krwiodawców tradycyjnie obdarowano upominkami od sponsorów. W przygotowaniu akcji krwiodawczej pomagali wolontariusze-społeczni.

ROBERT WRZESIŃSKI



FOT. ROBERT WRZESIŃSKI

Pomoc dla żaków

Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych zapewnia osobom z niepełnosprawnościami kształcącym się na uczelniach wyższych wsparcie w ramach dwóch programów – „Aktywny Samorząd” i „Absolwent”. Współpraca z uczelniami wyższymi – jak informuje PFRON na swojej stronie internetowej – obejmuje między innymi organizację konkursu „Otwarte Drzwi” oraz studia podyplomowe o kierunku kształcenia: specjalista do spraw zarządzania rehabilitacją.

W ramach modułu drugiego wspomnianego programu „Aktywny Samorząd” osoby z niepełnosprawnościami mogą ubiegać się o dofinansowanie lub refundację kosztów opłat za naukę (czesnego), a także o dofinansowanie w formie dodatku na pokrycie kosztów kształcenia lub dodatku na uiszczenie opłaty za przeprowadzenie przewodu doktorskiego. Moduł dotyczy studentów lub doktorantów posiadających orzeczenie o niepełnosprawności w stopniu znacznym lub umiarkowanym, realizujących naukę na każdym etapie kształcenia wyższego (również na studiach podyplomowych), w szkole policealnej lub kolegium albo mających otwarty przewód doktorski poza studiami doktorskimi.

Celem programu „Absolwent” jest aktywizacja zawodowa osób z niepełnosprawnościami, a ściślej – umożliwienie podjęcia pracy osobom posiadającym wykształcenie wyższe bądź realizującym ostatni rok nauki w szkole wyższej. Program obejmuje kilka obszarów wsparcia: zaplanowanie i wdrożenie indywidualnej ścieżki kariery zawodowej, podnoszenie kwalifikacji zawodowych, w tym zdobycie uprawnień zawodowych, ukończenie kursów i szkoleń zawodowych, odbycie stażu aktywizacyjnego.

Warto wspomnieć, że PFRON jest liderem projektu pod tytułem: „Wdrożenie nowego modelu kształcenia specjalistów do spraw zarządzania rehabilitacją – jako element systemu kompleksowej rehabilitacji w Polsce”, współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej. Oprac. KK.

Pierwszy dzwonek

Tik, tak, tik, tak. Mamy nowy zegar. Wyjątkowo głośno tyka. Odmierza minutę za minutą. Czas tak szybko płynie. Na początku denerwowało nas to głośne tykanie, ale już po kilku godzinach wpisało się w naszą codzienność. Gdy jednak robi się bardzo cicho, zegar daje o sobie znać, wprowadzając pewien rodzaj nerwowości. Trzeba się gdzieś spieszyć. Przecież czas ucieka...

Rzeczywiście lato minęło wyjątkowo szybko, przerwa „we wszystkim” spowodowana pandemią trwającą od marca też się kończy. Już za dwa dni rozpoczyna się nowy rok szkolny! Ile dni szkoły będą otwarte? A może jednak pozostaną otwarte już na stałe? Nie bez obaw czekamy na jesień. Mnóstwo pytań i wątpliwości kotłuje się w naszych głowach. Jakie powinniśmy podjąć decyzje? Czy Paweł ma iść do szkoły? Czy będzie w niej bezpieczny?

Nie będzie bezpieczny. To jedno jest pewne. Liczne klasy, małe pomieszczenia, tłok na korytarzach, tłok w stołówce, mała ilość toalet z niewystarczającą ilością kranów, to coś, czego się nie da zmienić.

Czy więc Paweł ma iść do szkoły? Zapewne nie tylko Paweł, ale i Jan, Maciek, Kasia, Iwonka, Kacper... czy mogą iść do szkoły? Ile rodziców zadaje sobie podobne pytanie, szczególnie rodziców dzieci niepełnosprawnych, które obciążone są chorobą czy nawet chorobami przewlekłymi? Czy nasze dzieci mają iść do szkoły?!!!

A jeżeli nie, to co mamy zrobić? Oczywiście, zgodnie z obowiązującymi przepisami, możemy wystąpić do lekarza o zaświadczenie o przewlekłej chorobie i zwolnienie z zajęć w trybie stacjonarnym. Ale to wcale nie jest dobre dla naszych dzieci, gdy wcześniej chodziły do szkoły, bo nie ma alternatywy. Nie będzie dla nich nauczania zdalnego, gdy reszta będzie uczęszczać na zajęcia w murach szkoły.

Mamy przejść na siebie obowiązek nauczania?

W naszej historii przerabialiśmy nauczanie stacjonarne, zdalne, indywidualne oraz domowe. Jeżeli miałabym pominąć aspekt zdrowotny, to sprawdza się tylko to pierwsze. Jeżeli dziecko jest na tyle sprawne, że może chodzić do szkoły, to jest to wymarzone miejsce, w którym uczy się budowania relacji z rówieśnikami, nauczycielami, relacji społecznych, które konieczne są w życiu. Szkoła to także nauka samodzielności i odpowiedzialności za siebie i innych. Przerobić materiał można w domu, lepiej czy gorzej, ale można. Nauczyć się żyć nie wychodząc z domu jest bardzo trudno.

Jaką więc mam podjąć decyzję? Czy moje dziecko ma zostać w domu, w którym jestem w stanie chronić je przez zakażeniem koronawirusem? Czy mam prawo zamknąć je w domu? Czy jestem w stanie przewidzieć konsekwencje tego, że gdy inni będą w szkole, Paweł zostanie w domu?

Gdy szkoły były zamknięte, a nauka odbywała się zdalnie, wszyscy byli w tej samej sytuacji. Wszyscy pozostawali w domu. Było to więc do zniesienia, ale gdy inni pójdą do szkoły, a Paweł nie, jak to przyjmie? Ile wytrzyma? Czy da radę uczyć się sam tylko z naszą pomocą? Ósma klasa to już nie żarty. Kończy się egzaminem!

Co robić?

W gronie rodziców poznanych w szpitalu, dzielimy się swoimi obawami. Dzwonimy do siebie i nikt nie podjął ostatecznej decyzji. Większość z nas postanowiła jedynie opóźnić powrót dziecka do szkoły o tydzień, może dwa tygodnie. Czy to jednak wystarczy? Czy nawet za dwa tygodnie będziemy wiedzieć więcej?

Nowy zegar tyka tak głośno! Mija minuta za minutą. Trzeba podjąć decyzję. Pierwszy dzwonek już za chwilę. Tik, tak, tik, tak...

Pięć dni



A.M. Krystosik
Gromadzińska
SZCZECIN

18 SIERPNI 2020 ROKU

18 sierpnia to szczególna data w naszym kalendarzu. Zawsze czekamy na ten dzień, by cieszyć się, że minął kolejny rok życia Pawełka i za niego dziękować. Za Pawełka i za kolejny rok. Przed czternastu laty, w tym właśnie dniu, po raz pierwszy usłyszałam jego płacz i mogłam przez sekundę przytulić syna.

Paweł zwyciężył wtedy po raz pierwszy, wygrał bitwę o przyście na świat. Lekarze stawiali nas na najgorsze, uswiadali, jak duże jest ryzyko, że Paweł nie przeżyje porodu. Dał radę! Dzień po dniu stacza kolejne, małe i większe wojny o siebie. Staramy się mu w tym towarzyszyć jak najlepiej potrafimy. A dzień uro-

dzin Pawełka, który jest także dniem urodzin jego taty, zawsze świętujemy i staramy się robić to w różnych miejscach.

W tym roku jest nieco inaczej. Covidowa rzeczywistość ogranicza nasze możliwości spotkania z rodziną i przyjaciółmi oraz zmienia plany. W cieniu wirusa staramy się jednak stawiać ostrożnie małe kroki, by nie zamknąć się całkiem w domu. Bo gdy pada deszcz, bierzemy parasol, kalosze i wychodzimy z domu. Koronawirus to oczywiście nie deszcz i środki ostrożności są daleko bardziej zaawansowane, ale rozsądnie wkraczamy w codzienność. Z wirusem będziemy żyć. Nie wiem, czy uda nam się przed nim ochronić, pomimo wszelkich starań. Mamy taką nadzieję.

Zdecydowaliśmy się nawet na wakacyjny wyjazd. Długo szukaliśmy oddalonej od tłumów turystów kwatery, bezpiecznej lokalizacji, która będzie spełniać standardy nie tylko covidowe, ale i konieczne



wolności



FOT. (4X) ARCHIWUM RODZINNE

dla dializy. Auto zapakowaliśmy pod sam dach. Cykler, worki do dializ, lampa UV, spraye dezynfekujące, pościel i wszystko inne, co jest potrzebne do naszego życia. Ponadto własnego wypieku chleb, bułki, spody do tory, składniki do mas, świeczki urodzinowe i parasol. I wszystko się przydaje. Nawet parasol, gdyż góry, które przyjechaliśmy oglądać, schowały się za deszczowymi chmurami.

Urodzinowy poranek w Karpaczu był słoneczny, ale chwilę po zdmuchnięciu świeczek na torcie, zrobiło się ciemno i pada... pada. Tort nieco ośłodził szary poranek. Na marginesie dodam, że wszystkie masy, którymi został przełożony, zrobiłam widelcem. Uważam to za swój sukces cukierniczy. Bez miksera czy trzepaczki udało się ubić śmietanę z galaretki, udało się też zrobić masę czekoladową na budyniu i maśle. Tak bardzo chciałam, by Paweł miał swój wymarzony tort.

I szary poranek zaróżowił

się nieco od galaretki na torcie, a my mieliśmy niespodziewanych gości. Dwa rude koty z sąsiedztwa przyszły zainteresowane przyjęciem na tarasie. Za wszelką cenę chciały wejść do tortu. Gdy im na to nie pozwoliliśmy, usiadły w rogu tarasu – tyłem do nas. Kocia natura! Obraziły się, ale zostały na wszelki wypadek, gdyby jednak spadło nam coś dobrego na ziemię. Był jeszcze pająk krzyżak, ale chyba nie zainteresowany tortem i osą, która zapewne chętnie by coś dla siebie uszczknęła. Takich niezwykłych gości mieliśmy w 2020 pandemicznym roku.

Posileni tortem ruszyliśmy zwiedzać okolicę z okiem samochodu, ze względu na deszcz, który postanowił padać chyba cały dzień. Gdyby nie wczorajsze wycieczki nie uwierzylibyśmy, że jesteśmy u podnóża gór – dziś zamiast nich jest mleczno-biała ściana.

Ale może właśnie dziś – w dzień czternastych urodzin Pawła – potrzeba trochę desz-

czowo-refleksyjnego nastroju. Co już za nami, a co jeszcze nas czeka? Czy kolejny przeszczep, czy rok dializ? Nikt nam nie odpowie na te pytania. Musimy być gotowi na wszystko. Wczoraj i jutro definiuje nasze dzisiaj. Nie planujemy, ale mamy tak zaplanowane życie, by w każdej chwili móc wszystko rzucić i wyruszyć po lepszą przyszłość. Nie wyjeżdżamy więc zbyt daleko, by w razie czego zdążyć dojechać (do Warszawy „po nową nerkę”). Dni liczymy godzinami dializ i czasem wolnym od nich.

Ale mimo wszystko znajdujemy odwagę i czas, by cieszyć się chwilami, które pozwalają nam oderwać się od codzienności.

ODDECH

Niestety, tak jest, że aby odpocząć, „złapać oddech”, najlepiej jest wyjechać z domu. Jeżeli pozwala na to stan zdrowia, to trzeba o to zabiegać. Przynajmniej raz w roku, przynajmniej na kilka dni, bo wyjazd ma ogromne znaczenie, także terapeutyczne. Czas płynie inaczej, obowiązki oczywiście są, ale przynajmniej część z nich można zostawić w domu. Można być razem cały dzień. Nikt się nie spieszy do pracy. Można w spokoju zjeść śniadanie, może trochę inne niż w domu, na przykład z udziałem regionalnych produktów. My kupiliśmy łomnicki serek kozi z ziołami i ser owczy, ale nie był to oscypek. Ciekawe smaki będą się nam kojarzyć z wsią Łomnica.

Właśnie wieś jest motywem przewodnim tegorocznych wakacji. Ze względu na zagrożenie epidemiologiczne starym planujemy wycieczki, szukając miejsc z dala od tak zwanych atrakcji turystycznych. Na szczęście Dolny Śląsk to region, w którym starych pałaców, wiejskich posiadłości z rozległymi parkami nie brakuje. Niektóre z nich, odrestaurowane, pełnią funkcję hoteli, inne popadają w ruinę, ale parki, które je otaczają, pozostają ogólnodostępne i wciąż kryją wiele tajemnic.

Odkrywamy także pasma górskie, jak na przykład góry łomnickie, które są może nie zbyt wysokie, ale bardzo malownicze, porośnięte lasami dającymi przyjemny chłód. Co dla nas ważne, te góry są puste. Nie ma w nich hord turystów. Jest za to cisza, śpiew ptaków,

górskie strumyki, małe jaskinie, punkty widokowe, skały.

Ciekawe są także zagubione w górach stare osady, opuszczone przez ludzi wiele lat temu, wchłaniane przez las. Opowiadają historie, o których mało kto już pamięta. Szukamy o nich wiadomości. Na szczęście w Internecie jest prawie wszystko. Przeszłość wraca na chwilę.

Wiele razy byliśmy w Karpaczu i Szklarskiej Porębie, ale chyba nigdy dotąd nie doświadczyliśmy w tym regionie tyle spokoju i ciszy. Do tej pory okolica nie zaskakiwała nas tyloma miejscami, o których nie piszą przewodniki. Z każdym dniem coraz bardziej wciągą nas szukanie miejsc zapomnianych, nie odwiedzanych przez turystów. To nasz sposób na wakacyjny oddech. Unikając skupisk ludzkich czujemy się w miarę bezpiecznie, chociaż poza domem. Oddychamy głębiej. Wiatr „przewiewa głowę”.

Na leśnej ścieżce czy w cieniu pałacowych starych lip można na chwilę zapomnieć o doświadczeniach ostatnich miesięcy i zebrać siły na kolejne. Idąc wpada się w pewien rytm, oddech uspokaja się, można myśleć, albo nie myśleć. Można po prostu iść. Docenić to, że ma się sprawne nogi i ręce, uszy, które słyszą, oczy, które widzą, że można oddychać, że co prawda trzeba wrócić na wieczór na dializę, ale w dzień można żyć prawie normalnie. Czasami to „prawie” wymaga zmian planów i dopasowania wielu rzeczy, ale jest! Mamy nasz czas wakacyjny. Niepowtarzalny i chociaż inny niż przez wszystkie poprzednie lata, to jednak piękny i spokojny.

Potrzeba takich dobrych doświadczeń wakacyjnych. Los nas ostatnio doświadcza. Przez epidemię żyjemy w większym niż zazwyczaj stresie. Z niepokojem spoglądamy w przyszłość. Wakacyjny wyjazd, to taka trochę bańka mydlana. Mamy swój świat, który cieszy nas przez tych kilka dni i pozwala odpocząć. Pięć dni wolności. Tyle daje nam dializa, gdyż do samochodu jesteśmy w stanie zabrać zapasy właśnie na pięć dni. Oddychamy więc głębiej, chodzimy wolniej, ale dłużej. Słuchamy, czytamy i oglądamy mniej, ale jakby więcej. Może po prostu inaczej... I ta inność jest najcenniejsza.

PRAWDZIWE WAKACJE DLA DZIECI

Mali



Od 6 lat Fundacja im. Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ organizuje prawdziwe wakacje dla dzieci z niepełnosprawnością. Dla dzieci, które nie mogą wyjechać ze zdrowymi rówieśnikami, ponieważ wymagają innej opieki, diety, podawania

leków... ale marzenia mają te same! Chcą być na koloniach i świetnie się bawić, poznać nowe koleżanki i kolegów, rozwijać zainteresowania, śpiewać przy ognisku.

W niedzielę 23 sierpnia zakończyliśmy kolonie „Małych Odkrywców”. Czterdzieścioro dzieci z niepełnosprawnością z całej Polski spędziło czas nad jeziorem pod opieką doświadczonej kadry obozowej i fantastycznych młodych wolontariuszy. Harmonogram kolonii był wypełniony mnóstwem zajęć – artystycznych, sportowych, konkursów talentów, zdobywaniem sprawności, nie zabrakło dyskoteki i randki w ciemno. Dzieci dbały o porządek w domkach, niektóre uczyły się jak pościelić łóżko i przygotować sobie kanapki.



PRAWDZIWE KOLONIE

– Podczas kolonii „Małych Odkrywców” nie zapewniamy dzieciom zajęć rehabilitacyjnych, bo mają to być prawdziwe wakacje z mnóstwem radości, zabaw i współpracy. Podczas tych aktywności dzieci uczą się samodzielności, motywują do podejmowania nowych wyzwań i uruchamiają swoje talenty. Oczywiście nie zapominamy o zajęciach sportowych, które są świetnym wsparciem rehabilitacji – podkreśla Zuzanna Janaszek-Maciaszek, prezes Fundacji PODAJ DALEJ.

Każdego dnia dzieci wraz z wolontariuszami i wychowawcami brały udział w zajęciach teatralnych i przygotowywały finałowe przedstawienie. Na zakończenie kolonii, kiedy rodzice przyjeżdżają, aby odebrać swoje pociechy, stają się jednocześnie widownią cudownych małych aktorów. Tegoroczne kolonie odbyły się pod hasłem „Eko To My”, a więc i przedstawienie nawiązywało do tematu dbania o planetę, świadomości ekologicznej, sprzątania śmieci wokół siebie i innych. Bohaterem przedstawienia był lisek Ibisek, dzięki któremu ludzie zaczęli sprzątać i czyścić planetę.



Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIĄ

odkrywcy

– Czekam na te kolonie cały rok! To najlepsze dni w roku i będę tu przyjeżdżał nadal! Najbardziej podobają mi się zajęcia sportowe – mówi Filip, który na koloniach „Mali Odkrywcy” był po raz piąty.

Ogromnie wzruszające są pożegnania, kiedy dzieci deklarują chęć przyjazdu za rok, a rodzice są wdzięczni, że mieli kilka dni wytchnienia. Wolontariusze i wychowawcy wyjeżdżają z kolonii ogromnie zmęczeni, ale szczęśliwi. Uśmiechy dzieci są najpiękniejszym podziękowaniem.

POWRÓT
DO PRZESZŁOŚCI

Te kolonie to dla nas trochę powrót do przeszłości. W latach 80-90 doktor Piotr Janaszek, patron Fundacji PODAJ DALEJ zabierał dzieci, młodzież i dorosłych na obozy rehabilitacyjne do Mielnicy nad Gopłem. Do Mielnicy jeździła co roku Ela – pielęgniarka obozowa oraz Justyna i Małgosia,

które były podopiecznymi Doktora. Były w tym roku również z nami podczas kolonii „Małych Odkrywców”.

Tegoroczne Kolonie „Mali Odkrywcy” odbyły się dzięki wsparciu Telewizji Polskiej Reklama Dzieciom, Firmy Kramp, Fundacji Radość Dziecka, Absolwentom PWSZ w Koninie, MZGOK Konin, PWiK Konin, PGKiM Konin, MPEC Konin, MK Konin, darczyńcom indywidualnym i podatnikom, którzy przekazali 1% podatku na rzecz Fundacji. Niespodzianki dla dzieci ufundował producent waty cukrowej BartPol, a także Planeta Robotów z Warszawy i kilka zaprzyjaźnionych wydawnictw. Wszystkim pięknie dziękujemy.

TO JESZCZE
NIE KONIEC

Ostatni tydzień wakacji trzynastu młodych koszykarzy na wózkach z drużyny Mustang Young spędziło na obozie sportowym w Mikorzynie. To

zgrana grupa młodzieży, która zna się z regularnych treningów koszykówki na wózkach, a także turniejów i meczy, które wspólnie rozgrywają. Pochodzą z Wielkopolski, a na treningi dowożeni są czasem nawet 70 kilometrów, bo kochają koszykówkę. Sport bardzo motywuje do tego, aby zwiększać swoją sprawność i samodzielność.

Zgrupowanie prowadzi Marek Bystrzycki – trener, wieloletni reprezentant Polski

w koszykówce na wózkach, założyciel Konińskiego Stowarzyszenia Sportowego Mustang Konin, a jednocześnie mentor dla młodych koszykarzy. Zgrupowanie to nie tylko treningi, to również nauka samodzielności. Tu nie ma mamy, która pościeli łóżko i będzie kierować planem dnia. Tu trzeba być samodzielnym, dbać o porządek, o kolegów z drużyny, nie spóźniać się na treningi, no i zawsze być uśmiechniętym i gotowym do działania. **NA**



FOT. (5X) ARCHIWUM FUNDACJI „PODAJ DALEJ”

Hej, lata dziecięce. Lata szczęśliwe, bo beztrojskie. Wspomnień z tych lat nie osłabia ani wiek, ani luki w pamięci, które są z nim związane. Pamiętam siebie jako trzyletniego brzdąca, kręcącego się wśród dorosłych, którzy stawiali nowy dom, i przeszkadzając im na wszelkie możliwe sposoby.

Któregoś dnia wyszedłem na piaszczystą, wiejską drogę z rozdziawioną gębą, przyglądając się, jak dwa konie ciągną bardzo długi wóz z leżącym na nim ponad dziesięciometrowym kłosem. Gdy przednie koła z końmi przejechały koło mnie, wgramoliłem się pod spód tego wozu i raptem coś straszliwie ciężkiego przysgniotło mi nogę w piachu. Krzyknąłem przeraźliwie, bardziej ze strachu niż z bólu, bo koło przetoczyło się przez moją nogę, wgniatając ją w piach. Na ten krzyk woźnica natychmiast stanął. Przybiegła moja matka. Woźnica stał błądy i przestraszonym głosem mówił:

– Ja tego nie widziałem.

Na szczęście piaszczysta droga uratowała mi nogę. Nie było żadnego złamania, tylko lekkie potłuczenie. Skończyło się na płaczu i kilku klapsach rozdanych rodzeństwu za to, że mnie nie upilnowali. Ten woźnica parę lat później został moim szwagrem.

Nowo wybudowany dom tak mnie nie cieszył, jak zapieki w kuchni, na którym wygrzewaliśmy się w długie, mroźne zimowe wieczory. Cóż, czas leciał i wkrótce trzeba było zacząć edukację. Szkoła oddalona była od naszego domu jakieś trzy-cztery kilometry. Tę drogę pokonywaliśmy obie strony pieszo, ale nikt sobie nie krzywdował. Chodziło się przecież boso całe lato, a i w niedzielę szliśmy siedem kilometrów do kościoła z butami na ramieniu i tylko przed kościołem zakładaliśmy je na nogi. Z powrotem znowu na bosaka. Bo niedziela stanowiła dla koni jedyny dzień odpoczynku.

Większość zabaw w porze letniej odbywała się zwykle przy wypasie krów, które wyprowadzało się na teren dawno już wyrąbanego lasu. Za ten wypas była leśniczka pobierała dwa złote od sztuki. Po powrocie ze szkoły trzeba było szybko odrobić lekcje i udać się po ryczący inwen-

tarz. Czasem trwało to godzinę i dłużej, bo teren był duży. Jedynie po odgłosach zabawy, okrzykach dziecięcych i odgłosie kołatek można było zorientować się, gdzie są krowy. Na wyrębach wyrosły gęsto krzaki. Gdzieniedzie tylko znajdowała się jakaś większa polana, więc dojrzeć ojcowskie krowy było trudno. Zbliżający się wieczór stanowił sygnał, że trzeba je już gnać w kierunku wsi. Przyzwyczajone do tego rytuału same odłączały się u stada i podążały do swoich gospodarstw.

Podczas wypasów do najmilszych zabaw dzieci należała gra w palanta, gdyż wszyscy brali w niej udział. Ale kłopot był ciągle z piłką, bo prawie codziennie jakaś pękła. A rodzice nie chcieli kupować nowych, bo wsie należały do ubogich. Potrzeba zmusiła nas więc do robienia pilek z huby, czyli grzyba żerującego na drzewach, jednak były one bardzo nietrwałe. Potem zaczęliśmy robić je z sierści krów, które latem liniały. Trzeba ją było ugniatać na mokro, aby uzyskać okrągły kształt. Jednak tak wykonane piłki miały tę wadę, że były zbyt lekkie i nie leciały daleko. Ale graliśmy nimi, bo innego wyjścia nie było.

Zdarzały się przykre incydenty podczas wypasów. Niekiedy kilka sztuk bydła odbijało od stada i trzeba było je szukać po całym rejonie. Czasem niektóre szły tam, gdzie zasiewy. Wówczas taki gospodarz. Wówczas taki gospodarz zabierał żerujące w jego polu bydło i żądał zapłaty za poniesioną szkodę. Tak bywało też z moimi krowami, kiedy upatrzyły sobie czyjeś zboże. Nie pomagało ciągle pilnowanie czy zawieszanie różnego rodzaju kołatek na szyi. Wystarczyła chwila nieuwagi i już ich nie było. A ile łez wylałem z tego powodu, ile wymówek spotykało mnie w domu, nawet pasek bywał w robocie.

Doszło do tego, że gdy się zgubiły, bałem się wracać do domu. Wlałem w gęsty krzak niedaleko drogi na skraju wsi i z duszą na ramieniu, głodny i przestraszony, chciałem spędzić tam noc. A nuż się zdarzy jakiś cud i krowy przyjdą same. Zapadła ciemna noc, a ja, dziewięcioletni, głodny, siedziałem w tym krzaku, połykając łzy. Gdzieniedzie zaszczeakał pies lub rozległ się krzyk dzi-

kiego ptaka, lecz powoli cała przyroda zapadła w sen. Było już chyba po północy, gdy usłyszałem porykiwanie bydła. Wskoczyłem z krzaka jak z procy i wybiegłem na drogę. W świetle księżyca dostrzegłem całe moje stado, które szło piaszczystą drogą w stronę wsi. Chwała ci, panie Boże, zawołałem i podziękowałem za ten cud, bo nie wiem, co by się ze mną stało. Zagnałem je do obory, powiązałem i już nie szukając jedzenia, tak jak stałem, położyłem się i zasnąłem twardym snem. Rodzice chwilę patrzyli na mnie w milczeniu, a potem ojciec rzekł:

– Synu, nigdy tego nie rób, pal licho krowy, ale musisz wracać do domu.

Innym znów problemem były dziki, które korzystając z osłony nocy i pobliskich zarośli, wchodziły na pola, niszcząc zasiewy. Upodobały sobie zwłaszcza proso i ziemniaki. Gospodarcze starali się je płoszyć, jak się dało. Dla dzieci była to uciecha i zabawa, gdy późną, wieczorową porą waliliśmy kijami w różnego rodzaju pokrywki, blachy czy kołatki, krzycząc przy tym w niebogłosy, aby je odstraszyć. Ale przecież całą noc nikt nie mógł chodzić i bębnić. A rano okazywało się, że znów narobiły szkody; niektóre uciekały dopiero, gdy usłyszały ludzkie głosy.

ZŁE WSPOMNIENIA

Moi rodzice zamieszkiwali początkowo o dziadków, gospodarując na ziemi o powierzchni około półtora hektara. Trudno było im z tak małego kawałka ziemi wyżywić kiluosobową rodzinę, dlatego wkrótce przenieśli się ze wsi Turka do województwa wołyńskiego, gdzie oferowano pięciohektarowe działki po wyrębie lasu. I tak oto na początku 1930 roku znaleźliśmy się w Kolonii Strzeleckiej, gdzie istniało już kilka gospodarstw. Ale te pięć hektarów też nie mogło nam wszystkim zapewnić należytej egzystencji, biorąc pod uwagę fakt, że nasz ro-

Moje

dzina znów się powiększyła i było nas już pięcioro rodzeństwa. W 1937 roku rodzice sprzedali więc gospodarstwo i kupili dziewięć i pół hektara we wsi Sokołówka, oddalonej od o dziesięć kilometrów. Wieś tę zamieszkiwali sami Polacy, chociaż wokół znajdowały się wioski ukraińskie.

Chodziłem do szkoły oddalonej od nas około dwa i pół kilometra, do której uczęszczały dzieci polskie i ukraińskie z kilku okolicznych wsi. Wszyscy żyliśmy w zgodzie. Miałem siedemnaście lat, kiedy nadszedł wrzesień 1939 roku. Po tygodniu wojny zaczęły napływać rzesze uciekinierów, które kierowały się na wschód, ale kilka tygodni później w popłochu uciekały w kierunku przeciwnym. Nikt nie mógł zrozumieć, co mogło się wydarzyć, jednak wkrótce okazało się, że bolszewicy nadchodzą z drugiej strony. Ksiądz z naszej parafii, bojąc się zesłania na Sybir, zbiegł na ziemie okupowane przez Niemców. Przed ucieczką powierzył nam bibliotekę parafialną, która dla mnie stała się źródłem wiedzy o dalekich krajach.

Nastaly dni pełne obaw i oczekiwania na najgorsze, które w niedługim czasie miało nadejść. Ukraińcy utworzyli oddziały milicji i nękali rewizjami, aby znaleźć pretekst do deportacji. Na szczęście nasza wieś leżała na uboczu, z dala od głównych dróg i w dosyć dużej odległości od miasta, bo do Włodzimierza Wołyńskiego mieliśmy około dwudziestu pięciu kilometrów, a z tego połowa drogi prowadziła przez lasy. Pomimo różnych szykan jakoś udało się całej wiosce przetrwać, natomiast w innych miejscowościach, zwłaszcza tych, gdzie mieszkaly rodziny legionistów, pozostała zaledwie garstka ludzi. Resztę wywieziono w głąb Rosji. Być może również nas by to spotkało, gdyby okupacja przeciągnęła się dłużej.

Nadszedł rok 1941 i zaczęła się ekspansja niemiecka na wschód. W ciągu kilku dni po

losy

bolszewikach słuch zaginął, ale ludność ukraińska zaczęła kumać się z Niemcami, a zorganizowane u ich boku oddziały lokalnej policji z całą bezwzględnością dawały do zrozumienia, że Polacy nie mają tu czego szukać.

W roku 1942 zaczęła się wywózka młodych do Rzeszy na przymusowe roboty. Nie było ani jednej rodziny, z której by nie wywieziono chociaż jednej osoby. Taki los spotkał też mego brata Bolesława i siostrę Janinę. Po kilku tygodniach zaczęły napływać od nich błagalne listy z prośbą o jedzenie, ponieważ przymierali głodem, pracując ciężko w fabrykach zbrojeniowych. Ale jak tu wysłać jakąś żywność, skoro niemiecka poczta przyjmowała paczki tylko do dwudziestupięciu deko i to raz na miesiąc dla jednego zesłanego. Suszyliśmy więc chleb i ser, żeby paczki z żywnością były lżejsze i te mizerne racje przysyłałymi dopóty, dopóki to było możliwe.

Tak nadszedł tragiczny w skutkach rok 1943. Ukraińcy zaczęli się organizować w grupy bojowe, do których przyłączyła się ich policja, wysługująca się do tej pory Niemcom. „Smert Lacham” – stało się ich dewizą, choć przez tyle lat żyliśmy obok siebie w spokoju i zgodzie. Docierały do nas wieści o straszliwym znęcaniu się nad pojmanymi Polakami. Rzadko kto ginął od kuli, większość umierała w okrutnych męczarniach, rżnięto ich piłami, wydzierano wnętrzności, a dzieci trzymane za nogi roztrzaskiwano o mur lub rozdzierano na strzępy.

Spśród moich krewnych Turowiczów zginął ojciec ze swoim synem w oddalonej zaledwie o cztery kilometry wiosce Stanisławowo, gdzie mieszkały w większości rodziny ukraińskie. Nas na razie oszczędzono, bo byliśmy odizolowani od innych polskich wsi i otoczeni wioskami ukraińskimi, tak więc nikt nie podejrzewał, że moglibyśmy utworzyć jakąś grupę i

uciec. Pomimo tego śledzono każdy nasz ruch i gdy tylko dostrzegano jakąś krzątanię, natychmiast przyjeżdżało na koniach kilku Ukraińców, grożąc, że jeżeli ktokolwiek się stąd ruszy, to wszystkich wybiją. Kiedy więc nadszedł okres żniw i trzeba było wyjść w pole, wszyscy się nawzajem obserwowali, aby nikt potajemnie nie uciekł i nie sprowadził na nas nieszczęścia.

Miałem wtedy piętnaście lat i byłem najstarszy spośród rodzeństwa. Pomagałem przy żniwach jak tylko mogłem, sierpem, kosą czy też podbierając snopy za koszącym ojcem. Nasze pola położone były podłużnie i ciągnęły się na obszarze około dwóch kilometrów i szerokości stu metrów. Tak więc sąsiedzi mogli nawzajem obserwować się przy robocie. Koszenie zbóż i stawianie kopek powoli zbliżało się końcowi, nadchodził sierpień. Pewnego dnia, kiedy pracowaliśmy w polu, rodzice zauważyli, że sąsiedzi, którzy jeszcze do południa również uwijali się przy robocie, teraz się ulotnili.

– Może dostali jakąś wiadomość – rzekła moja matka – i teraz szykują się do ucieczki. Pójdę i sprawdzę, co oni robią...

I rzeczywiście, miała rację. Zastała sąsiadów w stodole, gdzie zakopywali narzędzia i przedmioty gospodarskie. Zaczęli się niejasno tłumaczyć, jednak matka nie dała się omamić i powiedziała:

– Będziemy was obserwować i jeżeli tylko ruszycie się z domu, to pójdziemy za wami.

Wówczas sąsiedzi, widząc, że nie ma wyjścia, ujawnili swój sekret. W południe otrzymali wiadomość od swojego kuzyna, który miał szwagra Ukraińca, że trzeba uciekać tej nocy, ponieważ jutro mogą wymordować całą wieś. Ów szwagier wy-mógł obietnicę, że nikt się o tym nie dowie, gdyby zauważono, że coś się we wsi dzieje, jeszcze tego samego

dnia mogliby wszystkich wymordować.

Sąsiedzi zaklinali nas na wszystkie świętości, abyśmy trzymali język za zębami. Wyjawili nam, że o godzinie jedenastej w nocy, kiedy całkowicie się ściemni, mamy zebrać się na łące między wsią a lasem. Podano też hasło, dzięki któremu będzie można się rozpoznać. Przestrzegali, że wszystko musi się odbyć w absolutnej ciszy, a ze sobą można zabrać tylko trochę żywności i jakiś węzełek w ręce, bo czeka nas czterdziestokilometrowy marsz rzez bagna i aż do rzeki Bug w województwie lubelskim, gdzie bandy już nie grasowały.

Zaczęła się w domu gorączkowa krzątaniina, w pośpiechu zakopaliśmy wszystkie cenniejsze przedmioty, które trzeba było pozostawić. Mielśmy nadzieję, że może kiedyś uda się powrócić na gospodarstwo. Jakież to było złudne.

Gdy nastał wieczór, zamknęliśmy żywy inwentarz, pozostawiając mu jeszcze na koniec jedzenie, i z tobołkami w rękę wyruszyliśmy w miejsce wcześniej umówione. Wraz z naszą rodziną przygotowała się również do ucieczki nasza sąsiadka, której mąż wcześniej ukrył się w lasach, a ona od tego czasu wszystkie noce spędzała u nas. Rodzice powiedzieli jej o planowanej ucieczce, tym samym biorąc na siebie odpowiedzialność za naruszenie tajemnicy. O umówionej godzinie spotkaliśmy się w krzakach z pięcioma rodzinami spokrewnionym ze sobą; w sumie około trzydziestu osób. Wśród nas były także małeńkie dzieci, dla których zabrano jedzenie, by mogły jakoś przeżyć ten jakże ciężki dla wszystkich czas.

Wyruszyliśmy w drogę pełni obaw o dzień jutrzejszy, pozostawiając cały swój dobytek na pastwę losu i grasujących band ukraińskich. Wszyscy mieli zachować jak największą ostrożność i bezwzględną ciszę, nie wolno było pod żadnym pozorem rozmawiać. W razie konieczności przerwania marszu należało dotknąć idącego przed sobą, ten z kolei dotknąłby następnego, aż do przewodnika, który zatrzyma się i całą resztą za nim, następnie przejdzie na koniec kolumny,

by dowiedzieć się, co się stało. Tak zaczęła się najdłuższa noc w moim życiu.

Przemierzaliśmy łąki, bagna, aby znów zapaść się w lasy. To, czy dobrze idziemy, wiedzieli tylko ci, którzy pracowali w tych okolicach przy wyrębie drzew. Reszta zdała się na ich intuicję; wierzyliśmy, że nas doprowadzą bezpiecznie do wymarzonej rzeki. Przez cały czas panowała niesamowita cisza. Małe dzieci, jakby wyczuwając grozę sytuacji, zupełnie zamilkły, nie było ani płaczu, ani narzekania na niewygodę. Silniejsi pomagali słabszym, zwłaszcza przy przechodzeniu przez rowy napełnione wodą, których było bez liku. Gdyby ktoś nas wtedy spotkał, mógłby pomyśleć, że to jakiś orszak upiorny ciągnie na obrzęd dziadów. Bosi, wymazani błotem, żeby nasze twarze nie były widoczne, wyglądałiśmy przerażająco.

Cały czas towarzyszył nam straszny lęk, żeby nie natknąć się na którąś z ukraińskich band, których wokół było pełno. Mijała godzina za godziną, a upiorny orszak sunął w milczeniu jak korowód duchów. Na odpoczynek nie było czasu, bo do świtu musieliśmy pokonać obszar, na którym grasowały bandy. Pomimo że śliśmy bagnami, nie udało nam się ominąć wszystkich wsi. Należało przejść obok kilku domów wsi Stanisławowo, gdzie zginęli moi krewni, aby znów zapaść w bagna po drugiej stronie drogi.

Czas naglił, musieliśmy podjąć ryzyko, by nie zbaczać zbyt daleko z drogi. Zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby nas wtedy wykryto, byłby to nasz koniec. Zaczynało szarzeć, a my wciąż znajdowaliśmy się w lasach. Pocieszałyśmy się jednak, że idziemy w dobrym kierunku i niedługo do-trzemy do celu. Musieliśmy wszakże pokonać jeszcze jedną przeszkodę, jaką była ukraińska wieś Musury, słynąca z okrucieństwa wobec Polaków. Według informacji, które nam przekazano, mieścił się w niej sztab większej grupy banderowców. Jednak i tym razem szczęście nas nie opuściło, w największej ciszy przemknęliśmy obok rogatek wioski, aby ponownie zapaść w chaszczę.

ciąg dalszy na str. 34 i 35

dalszy ciąg ze str. 32 i 33

Udało się. Pierwsze promienie słoneczne dotarły do nas, gdy zmordowani do granic wytrzymałości, byliśmy już jakieś trzy kilometry za tą przekłętą wsią, której tak bardzo się obawialiśmy. Dopiero teraz, w krzakach, mogliśmy sobie pozwolić na parogodzinny odpoczynek. Kilku dorosłych, którzy znali te tereny, udało się na poszukiwanie wody, bo prawie przez całą drogę dzieci nie miały w ustach kropli płynu. Teraz dopiero, po dłuższym odpoczynku, dotarło do nas, że najprawdopodobniej nigdy już nie zobaczymy naszych gospodarstw, sąsiadów i znajomych.

Do wyznaczonego celu pozostało nam jeszcze około dziesięciu kilometrów. Około trzeciej po południu, trochę wypoczęci, ruszyliśmy w dalszą drogę, mając świadomość, że każdy kilometr przybliża nasze ocalenie. Pod wieczór dotarliśmy do przeprawy promowej przez Bug. Ze łzami w oczach witaliśmy upragnioną rzekę, z całego serca dziękując Bogu za ocalenie. Przeprawiliśmy się na drugą stronę do miasteczka Dubienka, obecnie znajdującego się w województwie zamajskim. Tam wygnańców-uciekinierów było więcej, niż się spodziewaliśmy. Pytaniom, jak się wyrwaliśmy z tego piekła, nie było końca.

Następnego dnia ojciec udał się do swoich krewnych opowiedzieć im, że żyjemy. A po południu przyjechano po nas wozem. Takim sposobem powróciliśmy do naszej rodzinnej wsi Turka. Przez pozostałą część okupacji tułaliśmy się po różnych krewnych, aby przeżyć jakoś ten trudny okres.

Dopiero po czterdziestu latach, w 1983 roku, odnalazłem mojego szkolnego kolegę – Wacka Michała, który wtedy uciekał wraz z nami. Dowiedziałem się od niego, że tylko jednej z pozostałych we wsi rodzin udało się uniknąć zagłady. Kiedy zauważono, że część mieszkańców ucieka, likwidację Polaków przełożono o parę dni, a do porzuconych domów wprowadziły się rodziny ukraińskie i gospodarowały jak na swoim. Parę dni po naszej ucieczce rodzina innego z moich kolegów, udając Ukraińca, opuściła wieś. Udało jej

się oszukać rozstawione strażę i dotrzeć do miasteczka Maciejów, a z niego później, wraz z innymi polskimi uciekinierami, przedostała się na Lubelszczyznę. Następnie po wyzwoleniu wyjechała w okolice Malborka, gdzie zamieszkała na stałe. Pozostali Polacy z naszej wsi zostali okrutnie wymordowani, ocalały tylko pojedyncze osoby, którym cudem udało się uniknąć śmierci. Opowiadały później historie, od których włosy jeżyły się na głowie. W większych skupiskach Polacy próbowali bronić się resztkami sił, jednak skutki tej obrony zazwyczaj kończyły się tragicznie.

PIERWSZE DNI WOLNOŚCI

Trwała jeszcze okupacja, ale w mojej wsi jak dawniej młodzież schodziła się po cichu do domów, gdzie dziewczęta wraz ze starszymi kobietami przędły na kołowrotkach czy wrzecionach lub darły pierze. Było przy tym trochę śmiechu, bo chłopcy psocili, ile się dało. Ale też śpiewaliśmy piosenki i pieśni o różnym zabarwieniu, między innymi „Marsz, marsz Polonia” czy „Jeszcze Polska nie zginęła”. Oczywiście, przy zaciemnionych oknach. Dysponowałem dość dobrym głosem, dlatego zawsze proszono mnie o podanie właściwej tonacji. Gdyby zastali nas tak licznie zgromadzonych, byłby kłopot nielichy.

Moja rodzina od chwili ucieczki z Wołynia przed rzezią mieszkała u kilku krewnych. Ja przebywałem we wsi Ostrów u ciotecznego brata, kowala, pomagając mu w kuźni. Brat Czesiek był u ciotki Tekli w tejże samej wsi, a z kolei rodzice u brata ojca – w rodzinnej w rodzinnej wsi Turka. Nikomu nie wiodło się dobrze, bo Niemcy kontyngentami ściągali, co się dało. Zmora stało się też przymusowe kopanie okopów i umocnień nad Bugiem. Ziemia była zamarznięta na głębokości nawet jednego metra. Trzeba było tłuc ją kilofami i dopiero potem wyrzucać łopatą.

Utkwiło mi w pamięci jedno zdarzenie. Ledwo zjedliśmy skromne zapasy zabranego z domu chleba, a już braliśmy się do kopania, bo żołnierze niemieccy ciągle nas pogani. Porywisty wiatr wciskał się ze śniegiem za kołnier

kurtki. Zbliżał się wieczór, zapadła ciemność, a nas nie zwalniano z roboty. Zaczął dokuczać nie tylko chłód, ale i głód. Przemykając między innymi robotnikami, zebraliśmy się w kupie: było nas ponad dwudziestu z tej samej wsi. Wiedzieliśmy, że musimy coś robić, bo nie wytrzymaemy do rana. W końcu postanowiliśmy, że z łopatami na ramieniu pomaszujemy w kierunku wsi Dorohusk. A jak się uda, zmienimy kierunek i wrócimy do naszej wsi.

Ruszyliśmy. Po przejściu około półtora kilometra usłyszeliśmy niemieckie głosy i raptem komendę „halt”. Niemcy podeszli i zaczęli pytać, co tu robimy. Jeden z naszych trochę po niemiecku i trochę po polsku wytumaczył, że jesteśmy grupą robotników, idziemy na kolację i wracamy z powrotem do kopania okopów. Chyba zabrzmiało to przekonująco, bo kazali iść i szybko wracać. Minęliśmy ich, a następnie skręciliśmy między ogrody, dziękując Bogu, że się tak skończyło, bo groziło nam rozstrzelanie. Na cmentarzu rzuciliśmy łopaty i dobrze już po północy dotarliśmy do swoich domów.

Lato 1944 roku przyniosło dalekie odgłosy zbliżającego się frontu. Moja rodzina, która była porzucana po krewnych, postanowiła się połączyć i razem czekać, co przyniesie najbliższa przyszłość. A dudnienie stawało się coraz głośniejsze. Zaczęły się też pojawiać sowieckie samoloty; siały z karabinów maszynowych, jak też zbombardowały znajdujące się w odległości około dwudziestu kilometrów miasto Chełm. Prace żniwne przebiegały wolno, między jednym nalotem a drugim. Zamieszkaliśmy u naszego krewnego. Jego dom stał poza wsią, więc była większa szansa przeżycia. Wspólnie wybudowaliśmy schron wraz z rowem doprowadzającym; na jego wierzchu postawiliśmy stóg z sianem wierząc, że to w jakimś stopniu zwiększy szan-

se bezpieczeństwa. Gdy tylko pojawiły się samoloty, biegliśmy do rowu i chowaliśmy się w schronie. A częstotliwość nalotów zwiększała się wraz ze zbliżającym się frontem od rzeki Bug, od której dzieliły nas jakieś cztery kilometry.

W pobliskiej wsi Zanowinie Niemcy umieścili artylerię, którą zamaskowali snopami ściętego żyta. Za wsią rozciągały się mokradła porośnięte olszyną aż do rzeki Udal, podchodzące jakieś dwieście metrów do domu, w którym mieszkaliśmy. Podczas jednego z nalotów zabita została krowa naszych krewnych. Szkoda była bardzo wielka, bo dawała dużo mleka. Z powodu upałów należało zrobić coś z jej mięsem, więc dostaliśmy też spory kawał. Mama rozpałała w piecu chlebowym, i tam to mięso wędziła i suszyła, bo takie dłuższe poleży.

Naloty stawały się coraz bardziej intensywne, zwłaszcza stojąca za wsią artyleria dawała się Rosjanom we znaki. Razu pewnego wybrałem się za rzekę, gdy nagle pojawiły się samoloty i pociski zaczęły gwizdać koło mnie. Rzuciłem się w pobliskie krzaki i tam wskoczyłem do jakiejś dziury. Nagle jeden z samolotów runął w dół, a w górze zobaczyłem na spadocznym balansującym lotniku, do którego hitlerowcy otworzyli ogień z broni maszynowej. Gdy tylko się trochę uspokoiło, wróciłem do domu.

Wszyscy sąsiedzi zebrali się na naradę i postanowili opuścić wieś, uznając, że jest tu zbyt niebezpiecznie. Załadowano dobytek na wozy – my zaś swoje tłumoki na plecy, bo tylko tyle mieliśmy – i po południu pozostawiając domostwa, oddalono się o jakieś pięć kilometrów, poza obręb działań niemieckich. Ulokowaliśmy się w sadzie u jednego z gospodarzy, bo takich jak my uciekinierów było już całe podwórze. Dojrzawały wtedy wcześniejsze odmiany jabłek i wiśni, które w tym roku obrodziły obficie. Racziliśmy się tymi dara-

Moje

losy

mi natury, bo zrywać ich nie mieli głowy. Pewnego pięknego poranka strzały ucichły, zabraliśmy się więc do robienia jakiegoś obiadu. Nagle jak spod ziemi pojawili się jak na koniach Rosjanie.

– Gdzie Germańcy? – pytali ucieszonych i zdeorientowanych ludzi.

– Tutaj ich nie ma – odpowiedziano – ale wczoraj byli we wsi.

– A no chyba udarli – uznał jeden z żołdatów.

– Snami idut wasze polskie wojska – powiedział drugi.

I tyle ich widzieliśmy.

Wkrótce na drogach zaczęło pojawiać się coraz więcej żołnierzy i taborów. Wówczas to zobaczyłem pierwszy raz w życiu wielbłądy, które ciągnęły wozy z zaopatrzeniem. Zbliżał się powoli wieczór i nagle zelektryzowała nas wiadomość, że idzie polskie wojsko. Pobiegliśmy na drogę, gdzie rzeczywiście maszerowali Polacy. Pytali, gdzie się znajdują, prosili o wodę i papierosy. Wszyscy dawali, co kto mógł, a łzy się kręciły nam w oczach, gdy patrzyliśmy na wymizerowane postacie, które przyniosły nam wolność. Jakaś grupa żołnierzy przystanęła przy nas, posypały się pytania, jak tam było, jak zdołali przeżyć w stepach dalekiej Syberii.

– A no jakoś dzięki Bogu przeżyliśmy, ale im tego nie zapomnimy. Gdy dojdziemy do Berlina, do tych skurczybyków pogonimy za Ural.

Jakie to były złudne nadzieje, pokazała przyszłość. My tymczasem upajaliśmy się pierwszymi dniami wolności.

DROGA NA ZACHÓD

Euforia, że wreszcie jesteśmy wolni, zaczęła powoli mijać. Pozostawało pytanie, co dalej, ale przecież nie mieliśmy nic oprócz kilku tale-rzy, kubków i paru garnków. Mieszkaliśmy słoczeni u kuzynów, cztery osoby w małym pokoiku. Był to jeszcze okres opóźnionych przez prze-dzia-

łania wojenne żniw, więc postanowiliśmy pracować u tych gospodarzy, którzy tego potrzebowali. Tak tedy we trójkę, rodzice i ja, gdyż miałem już skończone 16 lat, najmowaliśmy się co dnia do żniw. Była to harówka nieraz ponad moje siły. Chodził też z nami młodszy brat, pomagając przy stawianiu zboża w kopki.

Tak przeszły żniwa, skończyła się praca dla kobiet i dzieci, ale my z ojcem pomagaliśmy teraz przy młóceniu zboża. Wiele zabudowań gospodarczych uległo zniszczeniu, więc młócenie odbywało się na klepiskach spalonych stodół i tylko cepami, bo nic innego nie było. Wędrowaliśmy z ojcem od gospodarza do gospodarza. A machanie cepem to nie taka prosta sprawa, jakby się zdawało. Na jedną rękę przez cały dzień nie dało się pracować, więc gdy bijak był w górnym położeniu, następowała co jakiś czas zmiana rąk, aby nie wypaść z rytmu. Do młócki snopy się rozwiązywały, rozkładając cienką warstwą na klepisku, a po omłocie przewracało się na drugą stronę i znów następowała ta sama procedura. Po zakończeniu jeszcze się sprawdzało, czy w kłosach nie ma ziarna i dopiero zbierało słomę i wiązało w snopy.

Lato tego roku było upalne. Po kilkunastu dniach takiej młócki na słońcu dostaliśmy udaru słonecznego i ładnych parę dni przeleżałem z gorączką. Ale młody organizm wziął górę i znów razem z ojcem chodziłem młócić. Za dzień takiej roboty od świtu do zmierzchu dostawaliśmy wspólnie 25 kilo żyta. Był to ciężko zapracowany chleb, ale i tak cieszyliśmy się, że mamy wreszcie swój.

W niedzielę chodziliśmy do kościoła w Dorohusku, a po obiedzie młodzież urządzała sobie spotkania. Były to chwile zabaw, śmiechu, robienia kawałów, które wynagradzały całotygodniową harówkę. Ze zgraną paczką chłopaków chodziłem też na pierwsze

po wojnie młodzieńcze podrywki. Wieczorami zaś w gro-nie rodzinnym zastanawialiśmy się, co robić dalej. Namawiałem rodziców do bardziej zdecydowanych kroków, mówiłem:

– Nas tu przecież nic nie trzyma, nie mamy niczego własnego. Czemu nie spróbować szczęścia i nie wyjechać na Ziemię Odzyskaną?

Ale trwała jeszcze wojna i rodzice bali się, jaki będzie jej koniec. Pewnego dnia ukazało się zarządzenie, że ludność ukraińska w ramach repatriacji zostanie przesiedlona do Związku Radzieckiego. Kto nie chce, musi pojechać na Ziemię Zachodnią. Późną jesienią Ukraińcy opuścili swoje gospodarstwa i wyjechali. Na jedno z opuszczonych gospodarstw wprowadziliśmy się my, na inne repatriowani z byłych terenów polskich za Bugiem. Rodzice sprzedali część zarobionego zboża i kupili krowę. Był to pierwszy nabytek od czasu ucieczki przed rzezią ludności polskiej za Bugiem w 1943 roku.

Zima 1944 roku była mroźna i śniegu nasypało tyle, że jeszcze prawie leżał cały marzec. Trzeba było postanowić, czy nadal tam pozostajemy, czy też wyjeżdżamy w głąb Polski. Ja byłem zwolennikiem wyjazdu.

– Kochani – mówiłem – ziemia tu dosyć piaszczysta, drogi nieutwardzone, elektryczności nie ma. Jak długo przyjdzie nam żyć w takich warunkach? Jedźmy tam, gdzie można żyć lepiej.

Rodzice długo się wahali, naradzali. Wreszcie zapadła decyzja, wyjeżdżamy. Na stacji w Dorohusku podstawiono wagony towarowe kryte, dla każdej rodziny jeden, a kto miał inwentarz, dostał dodatkowo wagon-węgłarkę. Mieliśmy tylko wagon kryty, bo krowy nie braliśmy ze sobą, chcąc na miejscu zorientować się, czego będzie potrzebować, czy krowy czy konia. I dobrze zrobiliśmy, gdyż na miejscu okazało się, że koń jest podstawą w gospodarstwie, a na Pomorzu kupić konia było wręcz niemożliwe. Rosjanie zabierali wszystko, co się udało, a konie w szczególności.

1 maja 1945 roku załadowaliśmy się do wagonów wraz z kilkoma jeszcze rodzinami, zaopatrzeni w bimber

jako nieodłączny środek, łamiący wszelkie bariery i przeciwności. Dojechalśmy do Chełma, czyli jakieś dwadzieścia kilometrów, i stop. Pierwszeństwo miały transporty wojskowe, a tych było dużo. Jechały z zaopatrzeniem na zachód, lecz jeszcze częściej – ze zrabowanym dobrem na wschód. Na nic się zdały prośby do kolejarzy, że przecież w takim tempie pojedziemy przez miesiąc. Rozkładali bezradnie ręce, mówiąc:

– Wojsko ma pierwszeństwo. Jak będzie możliwość, to pojedziecie.

Staliśmy w Chełmie półtora dnia. Wszystkie rodziny jadące z nami wysunęły więc poważny argument, czyli samogon. Parę litrów przekonało kolejarzy, doczepili nasze wagony do któregoś transportowego i nocą 2 maja ruszyliśmy dalej. Następnym etapem był Lublin. Rano odczepiono nasze wagony i odstawiono na boczne tory. Znów nastał przymusowy postój. Dorosli zbierali się i debatowali, gdzie mamy jechać, aby się osiedlić. Jedni byli za tym, żeby jechać na Ziemię Odzyskaną, a opo-nenci mówili, że nie można pchać się tak daleko. A co będzie, jak Niemcy tam wrócą? Lepiej osiąść na terenach rdzennie polskich.

Moi rodzice też byli tego zdania i mówili, żeby jechać w poznańskie, gdyż po sąsiedzku mieszkał u nas gospodarz z poznańskiego i mówił, że tam wsie są zelektryfikowane, co było bardzo ważną rzeczą. Dysputy były zażarte, bo każdy bronił swoich racji. Po rozważeniu wszystkich za i przeciw postanowiono, aby jechać do Chełmna w województwie bydgoskim, gdyż właśnie z tych terenów był ten, co ob-stawał za Pomorzem. Pozostawała kwestia, jak najszybciej tam dotrzeć. I znowu bimber okazał się niezastąpiony. Kolejarze nad ranem 4 maja dołączyli nasze wagony do pociągu wojskowego i do-tarliśmy do Warszawy, gdzie znów nas odstawiono na boczne tory, a transport wojskowy pojechał dalej. Zaczęły się zatem od nowa pertraktacje z kolejarzami, aby nas dołączyli do jakiegoś transportu. Sprawa stała się tym bardziej pilna, że bimbru było coraz mniej.

cdn.

JÓZEF WAWROŃ



Zbigniew M.
Nowak
KOŁOBRZEG

Szczygieł(26)

– Dostaję zadyszki, kiedy gryzę. Brakuje mi tchu podczas pracy samej... zuchwy.

– Męczy cię żucie?

– Trudno w to uwierzyć, prawda? Po zjedzeniu kromki chleba jestem tak wycieńczony, jakbym był po szychcie na przodku. Nawet oddychać nie mam siły.

– Kto by się spodziewał...

– Mnie też to zaskakuje. I nie rozumiem tego... jak wielu innych rzeczy, które się z mną wyprawiają... – Zamyślił się na chwilę i dodał już całkiem innym tonem: – Ale za to teraz z książkami lepiej sobie radzę.

Amelia ożywiła się.

– Na boku łatwiej się czyta, wiem coś o tym...

– Już nie potrzebuję lizaka.

– Świetnie, bo mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała. Sięgnęła za siebie i przyciągnęła wózek z książkami.

– Coś specjalnego? – zainteresował się.

Bibliotekarka zrobiła tajemniczą minę.

– Mam tu dla ciebie, Hubercie... – rzekła i z płóciennego worka, który wisiał przy koszyku z książkami, wyjęła plik włoskich przewodników – małą niespodziankę... Pamiętasz? Rozmawialiśmy o malarstwie. Moja siostrzenica wróciła właśnie z wycieczki po Włoszech – mówiła przeświadczona, że sprawia mu prawdziwą przyjemność. Otworzyła wydobyte pudełko.

– A tutaj masz plik widokówek – rzekła, rozkładając je jak talię kart. Raz po raz wykladała po jednej. – To katedra Santa Maria del Fiore... fontanna Neptuna na Piazza della Signoria, tam gdzie jest Galeria. Tu – kontynuowała coraz bardziej rozemocjonowana – co my tu mamy? Aha... miejsce spalenia Savonaroli, proszę, rzeźby na Loggia della Signoria... Tak... O! Herkules i Centaur Giambologni, proszę, będziesz miał co zwiedzać. Następnym razem przyniosę ci coś z Rzymu i Watykanu. Widzia-

łam u Tatiany także prospekt z Wenecji. Byłeś kiedyś we Włoszech?

– Niestety.

– Ja też nie – rzekła smutno. – Ale gdzie ja z tej emerytury mogę wyjechać? Do siostry na wieś... Też ładnie, nie powiem... Jednak Rzym... – rozmarzyła się. – Watykan... Chciałabym pojechać do Ojca Świętego. I do Wenecji... Tak, do Wenecji...

– Też bym chciał – odrzekł. – Ale na razie muszą starczyć przewodniki.

Amelia wstała i ciężko oparła się o wózek.

– Tak musi widocznie być – powiedziała. – No, tak... tak... Ano cóż... Wpadnę do ciebie za parę dni – rzekła i pociągnęła wózek. – Wiesz, a może kiedyś ty przyjechałbyś do mnie na dół.

– Do biblioteki?

– Ano. Miło jest w tej piwnicy, między książkami. Zobaczyłbyś i poczuł ten klimat. Salka jest niewielka, ale urocza. Sklepiona ceglanym stropem, jak piwniczka na wino. Lubisz wino?

– Pobudza mnie.

– Tak, to coś dla ducha. Jak książki.

– Przyjdę, obiecuję.

„Raczej przyjadę” – przemknęło mu przez myśl. Ale już się nie poprawiał.

– No, zaparzę kawę, wytaszczę resztę przewodników. Mam dobre ciastka. Powędrujemy sobie palcami po globusie, pogawędzimy, pośmiejemy się... A wiesz? Weź Karolcię. Będzie jeszcze rażniej. Co macie tu siedzieć?

– Lubię ją. I przekażę zaproszenie. Ciastkom i kawie na pewno się nie oprze...

– Kochane dziecko, niestety nie lubi czytać. No, ale nie wszyscy muszą lubić... Taka młodziutka, kwiatusek, i już taka nieszczęśliwa... Czemu?... Tak musi widocznie być – powtórzyła raz jeszcze. Teraz już zdecydowanie pociągnęła wózek i kolebiąc się

z nogi na nogę, ruszyła do wyjścia.

– Do widzenia, Hubercie – pożegnała się. – Bądź zdrow.

ROZDZIAŁ 28

George Michael swym Last Christmas już od kilku dni zamęczał z głośników. Chyba nie tylko Hubert miał go serdecznie dosyć. Sala dopiero wypełniała się pacjentami. Skończyły się zajęcia na basenie i właśnie grupa kobiet z ręcznikami i pełnymi reklamówkami przyszła, tryskając nową energią. Panie rozglądały się wokół niecierpliwie. Natychmiast dostrzegły poinscjecie, które ktoś poustawił na parapetach, żeby tworzyły przedświąteczny klimat, i pokazując je palcami, coś do siebie mówiły. Symonides zmęczony ponadgodzinnymi ćwiczeniami kończył redresję lewej stopy. Gimnastyka indywidualna z Hubertem w dalszym ciągu była drobniawym zajęciem. Tu nic się nie zmieniło, jakby żaden czas nie minął, a wszystko stało w miejscu. Efekt tej pracy wciąż był niewystarczający i wciąż nikt nie wiedział na pewno, co z niego jeszcze będzie, i trudno było wierzyć i mieć tę konieczną nadzieję, że dzięki wysiłkowi odzyska choć część dawnej sprawności. Bywało, że brak nadziei odbierał mu chęć do dalszego życia. Gryzł się wtedy i na nowo wgrzyzał w sens tego, co przyszło mu znosić. Nie umiał przystać na to ani pogodzić się z tym w upragnionym spokoju. Nade wszystko nie potrafił pogodzić się z losem, machnąć ręką na swoją przyszłość i ćwiczenia. To z tej niezgody rósł bunt, który po raz kolejny wypychał go na salę ćwiczeń. Tam każdy szczegół był ważny. Wszystkie stawy po kolei musiały być poruszone, zgięte i wyprostowane, każdy mięsień rozciągnięty i przeprostowany do przykurczenia. Zgięcie... wyprost... Zgięcie i wyprost. Przywodzenie... odwodzenie... Wciąż tak samo – zgięcie... wyprost... zgięcie... Powtarzane bez końca, jakby czas się zapętlił, zająknął, ni-

czym złośliwie zarysowana płyta gramofonowa.

Ale czas się toczył. W tym pozornym zacięciu dni i tygodnie jednak mijały. Słońce z wolna wstępowało w znak Koziorożca. Robiło się coraz zimniej, coraz ciemniej i gdzieś tam padał śnieg. Zamarł park, odleciały pustelki, zginęła soczysta zieleń. Wiatr wyl w maswerkach i blendach ceglanego skrzydła, gwałtownie konary platanów. Smętniało, szarzało, marło.

Instytut w tym wszystkim przypominał arkę, która przy elektrycznym świetle płynęła z nimi do lepszego czasu.

Rozciągane mięśnie rwały aż gdzieś pod kolanem.

– Boli? – zapytał Symonides.

Hubert syknął z bólu i oparł się.

– Nie – odparł krótko, a przy następnym ruchu sprostał: – Trochę ciągnie. To wszystko.

– Myślałem, że cię boli... tak się skrzywiłeś... A nie powinien...

– Nie jestem dziś w formie... – próbował się usprawiedliwić.

– To przez ten śnieg, mnie też ciągle spać się chce – pocieszył magister.

Hubert pomyślał, że to kiepskie wytłumaczenie, ale sam innego nie potrafił wymyślić.

– Bardzo możliwe – odparł. Rozejrzał się po sali.

Na miejscu Rafała jakiś opasły i niechlujnie brodaty mężczyzna, używając dźwigu, prostował takie same kikuty. Robił tyle samo hałasu co Rafał, jednak był dziwnie irytujący. Przyjeł go na oddział kilka dni temu. Hubert słyszał go często. Głośno rozmawiał na korytarzu, trząsał drzwiami, stukał wózkami. Ogólnie był paskudnie odrażający i, jak się Hubertowi zdawało, wyjątkowo arogancki. Współczuł pielęgniarce i podziwiał ją zarazem, że wytrzymują z obłęsnym typem, że są jednakowo miłe i uśmiechnięte. Stwierdził samokrytycznie, że jednak nie jest człowiekiem

tolerancyjnym, bo gość wyjątkowo mu przeszkadzał.

Drgnął na dźwięk kolejnego uderzenia stołu.

– Facet daje sobie w kość – skomentował Symonides.

Kończył redresję. Potem niezmiennie następowała pionizacja. Hubert cierpliwie czekał, aż rehabilitant przypnie go pasami. Zbliżały się święta i myślał już, że ojciec przyjedzie do niego na Wigilię. Znowu na Boże Narodzenie będą rozdzieleni. To go smuciło i zniechęcało do wysiłku. Jaki to wszystko miało sens, skoro i tak nic się nie zmienia? Brodaty gość uderzył stołem o podłogę, aż coś jęknęło. Hubert pomyślał, że ktoś powinien go uciszyć albo pogłościć muzykę. W każdym razie ktoś powinien coś zrobić...

– Gotowe – usłyszał magistra, który dopinał ostatnią klamrę. – Jedziemy?

– Jedźmy – zgodził się bez entuzjazmu. – Jestem gotów.

Symonides zaczął obracać korbką i Hubert poszedł w górę. Lizał go chłód (na sali znowu nie grały kaloryfery), a potem zrobiło się gorąco. Może były to duszności? Mimo to poczuł dziwny przypływ sił.

– Możemy od razu stanąć na sześćdziesięciu pięciu stopniach – zdecydował śmiało.

– Jesteś już na siedemdziesięciu – odparł magister. Przyglądał mu się i powoli kręcił korbką. Na chwilę zatrzymał się na tej wysokości. Hubert przyklnął oczy i spokojnie oddychał. Starał się, żeby wdychy były maksymalnie głębokie. Nawet nie zauważył Karoliny. Musiała wjechać na salę, gdy się przygotowywał do pionizacji. Mimo chłodu miała na sobie ten sam letni dres – różowy z napisem: „Love Forever”. Rehabilitanci wkładali ją w jej mobilny stół. Był pewien, że za jakiś czas podjedzie do niego. Może jakoś go rozchmurzy, podźwignie psychicznie.

Pociemniało mu w oczach, lecz kiedy wyrównał i pogłębił pracę przepony i płuc, wszystko wróciło do normy. Nie myślał o tym, nie miał żadnego planu na dzisiaj. Oddychał. Tylko nogi go piekły i opuszkę palców.

– Trzymasz się? – usłyszał głos Simonidesa i wyczuł w nim jakieś dziwne podniecenie. Który to już raz śpiewał Michael? Nudny był z tym swoim: I gave you my heart

but the very next day you gave it away...

Usłyszał terkot korbki. Po jakiejś przerwie znowu. Osłabł.

– Jak się czujesz? – zaskoczyło go pytanie magistra. O co tu szło? Był już chyba dość wysoko. Chyba jeszcze tak nie stał. Walczył jakiś czas ze słabością, a kiedy udało mu się jako tako skumulować nowe siły, zapytał:

– Ile stopni?

– Osiemdziesiąt pięć – jak przez szum morza usłyszał odpowiedź.

„Osiemdziesiąt pięć – pomyślał. – No proszę, osiemdziesiąt pięć... Osiemdziesiąt pięć?!”

– Ile? – zapytał, zupełnie nie słysząc swego głosu.

– Osiemdziesiąt pięć! Osiemdziesiąt pięć, chłopie!

Teraz dotarło do niego, co się dzieje. Osiemdziesiąt pięć stopni! Teraz już naprawdę nie mógł popuścić. Osiemdziesiąt pięć stopni. Już tak niewiele brakowało... Tak nagle, niespodziewanie... Wróciły chęci, charakter i ambicja.

„Teraz albo nigdy” – pomyślał.

Już nie potrzebował dopingu, już nie potrzebował niczyjej uwagi, sam wziął się za siebie.

– Spokojnie, wytrzymam... – powiedział chyba dość głośno.

Poczuł dotyk Symonidesa. Magister na szyi sprawdzał tętno. Potem poklepał go po ramieniu.

„Jeszcze pięć stopni – pomyślał. – Jeszcze tylko pięć stopni”.

– Dalej – rzekł. – Wyżej...

Nie wiedział, czy Grek zakręcił korbką. Zdrętwiała mu twarz, a za chwilę poczuł mrowienie policzków. Ucisk w skroniach i uszach oznaczał spadek ciśnienia. Nie panował nad oddechem, tłoczył przeponą, ale chyba niewiele łąpał powietrza. Zrobiło się ciemno od sadzy i zaraz potem wszystko ucichło. Słyszał tę ciszę, dostrzegał ciemność i nadal czuł martwość twarzy. Ta martwota... Zatem jeszcze nie stracił przytomności. Nie stracił przytomności! To ważne... Tylko nie stracić przytomności... Chyba jeszcze się trzymał. Jak z zaświatów dotarł do niego głos magistra:

– Ile widzisz palców? –

strzelił. Obojętne, ile było tych palców. Ważne, że on jeszcze kojarzył. – Opuszczam cię – usłyszał.

Nie! – zareagował gwałtownie. – Nie trzeba – rzekł cicho. – Już mi przechodzi.

Mrowiła go twarz, nie czuł warg. Brakowało tlenu. „To minie, to musi minąć!” – myślał uporczywie. Gdzieś w połowie piersi urywał się oddech. Czy jeszcze oddychał? Zamknął usta i pociągnął nosem. Mocno. Na siłę! Aż uniósł barki. Uderzenie chłodnego powietrza poczuł w zatokach, lecz do płuc niewiele dotarło.

– Nie! – powtórzył, bo zdawało mu się, że Symonides chce go opuścić. – Nie!

Ucisk w skroniach i to omdlenie na granicy świadomości trudne były do zniesienia. Przecież to było takie proste. Stać i stać. Nawet nie musiał mieć siły w nogach, bo trzymały go pasy. A jednak ten ciężar... ten wysiłek. Musiał wytrzymać, dać radę. Mocował się w pustce i głuchocie. Mocował się z przejmującą słabością, z powracającą chęcią ucieczki, poddania się. Przez chwilę chciał się osunąć, spłynąć na podłogę, położyć. Te pasy... te pasy... Kto je odepnie... niech ktoś odepnie... albo jeszcze pół sekundy... nie dłużej... Błądzenie w niebysie zdawało się nie mieć końca. Było nieznośne, nieskończone długie. Momentami wydawało mu się, że stoi na warcie. Czego pilnował? Nie wiedział dokładnie. Siebie? Może swej obecności? Czegoś bardzo ważnego. Tak bardzo ważnego, że nie mógł odstąpić. Nie wolno mu było!... A może stał na bramce i wszyscy liczyli na niego?... Coś się działo. Coś... Chyba przestał rozumieć.

Najpierw zelżał ucisk w skroniach. Powietrze chyba dotarło do oskrzelików. Zaczynał się dotleniać. Jeszcze parę pociągnąć nosem. Nie mógł zemdleć. Już nie, nie teraz. Gdyby jeszcze... gdyby jeszcze ustąpiła ta słabość w udach, żeby przestało ciążyć... Coraz wyraźniej czuł w nozdrzach chłód powietrza. Twarz jeszcze miał odrętwiałą... Kiedy otworzył oczy, przez czarną zaćmę ujrzał Symonidesa. Magister stał przed nim, bardzo blisko, i przyglądał mu się. Chyba się uśmiechał.

– Trzymaj się – usłyszał go.

– Stoję? – zapytał słabym głosem.

– Stoisz. Jasne, że stoisz! Stoisz jak cholera! Słyszysz?!

Słyszał. Słyszał i rozumiał. Zachciało mu się płakać.

„Stoje! – pomyślał. – Naprawdę stoje!”.

Nie czuł dumy, chyba nawet i radości nie odczuwał. Więc co czuł w tej chwili? Ulgę. Czuł wielką, wszechogarniającą ulgę. Teraz już mógłby się położyć.

Ta Amelia, ta stara Amelia zaszachowała go na dobre. Dała początek nowym ciągom myślowym, niekończącym się, a wciąż zaczynającym od tego samego drażliwego momentu maratonom rozważań i nowych, nierzadko niewygodnych konkluzji. Już nie był tak pewny swego, choć poddać się nie chciał.

– Czy ty, Hubercie, gniewasz się na Pana Boga? – podczas ostatnich odwiedzin wprost spytała trwożnie, domysławiając się prawdy.

Wiedział, że takie pytanie w końcu padnie. Dziesiątki razy swą postawą i zbuntowanymi myślami odpowiadał na nie, teraz wszystko to dojrzało do głośnej i jednoznacznej werbalizacji. Czy jednak umiał być konkretny? Przecież już powiedział...

– Czy nie odwróciłaś się, gdyby zostawił cię w najważniejszej chwili? W chwili, w której decydowało się twoje życie?

– A bo to mało w moim długim życiu było decydujących chwil? Jedne szczęśliwsze, inne mniej, wiele nieszczęśliwych... ale nie dlatego, że Bóg miałby w nich być nieobecny. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że coś nie udało się z winy Boga.

– Masz na myśli Złego?

– E tam! Łatwa wymówka. Kiedy już szukałam winnego mojego nieszczęścia, to najczęściej odnajdywałam go, ale w sobie samej... tak, Hubercie, w sobie samej... A potem tylko dzięki bożej miłości wydrżiwałam się z każdej katastrofy i umiałam sobie wybaczyć. Nic z nas by nie było, gdyby nas Bóg nie kochał. Myślę, że jesteś w wielkim błędzie.

– Niewiele trzeba było, żeby mnie ocalić. Dziś dalej chodziłbym do kościoła i chwalił imię Pana.

ciąg dalszy na str. 38 i 39

dalszy ciąg ze str. 36 i 37

– A może ty Go za słabo gościłeś w swoim sercu? Zastanów się, czy twoją wiara była prawdziwa, nie powierzchowna jedynie. Czy Boga, w którego wierzysz, bo przecież wierzysz, skoro masz do Niego pretensje, nie ukształtowałaś sobie na swoją słabą miarę? Nie był ci potrzebny jedynie do własnych interesów? Nie chciałeś prowadzić z Nim targu oraz by sprzyjał ci w zamian za twoją gorliwość? Czy nie przyjąłeś Go po swojemu? Spójrz uważnie na siebie.

– Po co? On już nie jest mi potrzebny, jakoś daję sobie radę bez Niego. Nie widzisz tego, Amelio?

– Wciąż możesz cieszyć się tym światem. I wciąż być pociechą dla twoich rodziców.

– Mam wierzyć, że to Jego zasługa? – rzucił przytłoczony naporem argumentów Amelii.

– Czyżbyś był aż tak zarozumiały, żeby temu z całą pewnością zaprzeczyć? – spytała, patrząc mu głęboko w oczy.

– A cierpienie, Amelio. Czy to się nie liczy?

– Z pewnością liczy się. Ale powiem ci więcej, przyjacielu, że życie bez cierpienia nie istnieje. To ideał, marzenie, ułudą, która jest pewnie ideą innego świata i innego życia, do której go my tęsknimy. Jednak w tym życiu, prędzej czy później, jakieś cierpienie zdarza się każdemu, bo jest ono permanentną częścią naszego żywota. Tak już jest, a mówi ci to osoba, co już niejedno widziała i niejedno przeszła. Może jest ono sensem tego życia? A może ten sens jest przed nami ukryty? Bo tak naprawdę, kiedy cierpienie dotyka, to widać, że jest w nim tajemnica.

– Nie wiem, ale w ogóle mi się to nie podoba.

– Teraz trudno ci uzyskać odpowiedź na fundamentalne pytanie i znieść swoją niedolę, która stała się dla ciebie bezsensowna. Ale wiedz, że wiara może nadać wartości twojej męce. W dobrych relacjach z Bogiem znajdziesz ukojenie. Pomyśl nad tym...

Który to już raz analizował kwestię winy i odpowiedzialności? Dumał, kiedy z korytarza dobiegło go głośne pytanie.

– Przepraszam! Na której sali leży Hubert Kamiński?!

Echo i drzwi zniekształciły tembr głosu i nie rozpoznał, do kogo należy. Spodziewał się, że zaraz ktoś do niego wejdzie. Gwałtowne szarpnięcie za klamkę było tak nagłe, że drgnął nerwowo.

– Jakaś panna do ciebie przyszła – szybko rzuciła do niego Anka. – A ty co? W sznurki się pozaplątywałeś. Dali! – ponagliła go i zaczęła odpinać linki. – Odsztyfuj się trochę... To jakaś fajno mela... – Szarpnęła blaszaną szufladę nocnego stolika i wyjęła grzebień. – Zaraz cię tutaj wyrzucimy, żeby jakiej poruty nie było... – mówiła z radością konspiratorki.

Potem cofnęła się i spojrzała z odległości dwóch kroków.

– No! – rzekła i rozejrzała się, czy gdzieś czegoś nie należy jeszcze uporządkować. Kaczka stała na widoku, więc kopnęła ją głębiej pod łóżko. Zaraz wyszła i tylko usłyszał jej głos: – Może pani wejść!

Kiedy ją zobaczył, krew uderzyła mu na twarz. Nawet zaniemówił. Nie wiedział, jak się zachować.

– Cześć, Huberku – powiedziała cicho, domykając drzwi.

– Cześć – odparł nieswoim głosem. – Cześć, Madziu. Cieszę się...

Magda podeszła do niego i położyła mu obok głowy bukiecik frezji. Trochę niezgrabnie pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Poczuł się niezręcznie. Dopiero po chwili trochę się pozbierał.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Dzięki, nieźle... na ile to możliwe... – odparł, nie odrywając od niej wzroku. – Usiądź przy mnie – poprosił i pokazał na krzesło.

– Dzięki – odrzekła, siadając. Rozejrzała się. Torebkę z brązowej rafii z chromowaną skuwką w kształcie dwóch

kotów położyła na kolanach i oparła na niej ręce. – Dobrze wyglądasz...

– Ładnie ci w tym zielonym sweterku – wszedł jej w słowo.

Opuściła głowę.

– Dzięki – wyszeptała. Zdjęła czapkę i burza rudych włosów rozsypała jej się na ramiona. Strząsnęła je ruchem głowy. – Grzeją tutaj... – rzuciła wytłumaczenie.

Trochę się od niej odzwyczaił, choć cały czas ubolewał nad jej długim milczeniem i taką samą nieobecnością. Była uosobieniem wszystkiego, co stracił, co musiał zostawić, co działo się równolegle, lecz poza nim. Była tą, która przychodziła stamtąd i mogła być kładką łączącą świat, w którym przebywał, z tamtym; jego baterią, która zasilałaby go energią stamtąd.

– Myślałem, że już o mnie zapomniałaś – powiedział. Nagle poczuł, jak była mu potrzebna i jak bardzo mu jej brakowało.

– Nie, nie zapomniałam... Ty też się nie odzywałeś – odparła.

– Sądziłem, że się naprzykrzam... milczałaś...

– Wiesz... czasem wychodzi inaczej, niż się wcześniej chciało.

Wyglądała inaczej. Nie taką ją pamiętał. Sprawiała wrażenie kogoś, kto nie przyszedł w odwiedziny, lecz załatwić trudną sprawę. Jaką? I czy mógł jej to ułatwić?

– Powiedz, co u ciebie słychać? – spytał, nie spuszczaając z niej oczu. Próbował ją przeniknąć. – Dostałaś się na studia?

Czy akurat to interesowało go tak bardzo? Po co więc pytał? A o co miał pytać?

– Na studia? Ach, tak... tak, zdałam...

– Gratuluję. Więc studiujesz... Gdzie? Tam gdzie planowaliś... gdzie planowałaś?

– Tak, jestem na Jagiellonce.

– Cieszę się. I jak ci idzie?

Podobno pierwszy rok jest najtrudniejszy.

– To prawda, jest trudny... ale daję sobie radę chyba nieźle, bo uważają mnie za najlepszą na roku.

– Zawsze mówiłem, że jesteś zdolna – uśmiechnął się do wspomnień. – Jeszcze doktorat zrobisz. A gdzie mieszkasz? Dostałaś miejsce w akademiku?

– Niestety. A może to do brze, tyle się w tych akademikach dzieje... Mieszkam na stacji.

– Pewnie, na stacji lepiej – zgodził się. – Wygodniej... i uczyć się nikt nie przeszkadza. Sama mieszkasz?

– Z dwiema koleżankami z trzeciego roku. Jest wesoło.

– Masz dobrze... Zazdroszczę ci. A masz też kontakt z kimś z naszej klasy? Ciekawe, jak innym się udało.

– Z nikim... Wszyscy zapadli gdzieś bez śladu... A ty? Zmieniłeś się. To znaczy, chciałam powiedzieć, że wyglądasz na dużo sprawniejszego... Widać, że tutaj ci pomagają.

Skinął głową i poruszył się, by zademonstrować, że dobrze zauważyła. Nie umiał rozwiać tej drętwości, która zawisła między nimi i gęstniała niczym trujący opar.

– Sam dopiero niedawno to zauważyłem – powiedział. – W końcu minęło kilka miesięcy.

– To prawda, ale wiesz, na początku...

– Tak, lekarze nie dawali mi szans na przeżycie, dotarło to do mnie... Medycyna jest ułomna. Czasem, jak się człek zawężmie, to i najlepszym lekarzom ręce opadają – rzekł, licząc, że ona się roześmieje.

Nie roześmiała się. Była przygaszona. Obejrzała się na boki, zerknęła w górę i na portret Chinki.

– Ładnie tu masz – powiedziała. Opuściła lewą rękę, a spod rękawa wysunęła się gruba bransoletka z tybetańskiego srebra i owalnych ma-

lachitów. Poruszyła nadgarstkiem, żeby ją ukryć. Od razu spostrzegł, że nie ma bursztynowej obrączki od niego. „Zdjęła? Zgubiła?” – błysnęły szybkie pytania.

– Dbają o ciebie, prawda?

– Starają się wszyscy. Wiesz... tu są świetni specjaliści...

– Pewnie, wiem... A... Na dwór też trochę wyjeżdżasz?

– Teraz jest za zimno.

– Prawda... Głupia jestem strasznie...

Jakby jej nie słyszał.

– Cieszę się... Cieszę się, że przyszłaś, wiesz? – rzekł. Tak pragnął, by rozgrzały się fluidy, którymi zawsze emanowali na siebie wzajem, kiedy tylko byli blisko, teraz tak otęplale przygaszone. Dlaczego tak się wszystko spowolniło, zacięło, schłodziło, dlaczego nie chciało wykwitnąć?

– Ja też... Chciałam przyjść, koniecznie... Tyle minęło... Kiedyś widziałam się z twoją mamą... ale nie było czasu, żeby porozmawiać... Kasia bardzo urosła.

– Podobno. Widziałem jej zdjęcia...

– Nie poznasz jej, jak wrócisz do domu. Mówię ci.

– Wszyscy się zmieniamy – rzekł, obserwując reakcję dziewczyny.

– To prawda... – przyznała. Chciała coś powiedzieć, ale tylko uniosła ręce i upuściła torebkę. Schyliła się po nią, a kiedy ponownie usiadła prosto, zauważył, że ma zaczerwienione powieki.

– A ty? Ty, Madziu... czy zmieniłaś się? – spytał, patrząc jej w oczy.

Ucieka od jego wzroku.

– Wiesz... – zaczęła, zaciśnięciem w dłoni pasek od torebki. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Właściwie po to przyszedłam.

– To brzmi złowroźnie – zaśmiał się nieswojo. – Nie strasz mnie.

– Myślę, że będziesz się gniewał – rzekła jak dziecko, które coś zbroiło.

– Przekonajmy się – odparł. Czuł, że czeka go jakaś nieprzyjemność. Chyba Madzia... Nie. Na pewno nie.

Dziewczyna spuściła oczy i wyrzekła:

– Wiesz... Wiesz, Hubert. Ja... ja poznałam kogoś...

– Tak?

– Jeszcze w wakacje, na obozie integracyjnym...

– Więc dlatego nie przychodziłaś – wyduśił przez zaciśnięte gardło. – Mogłem się domyślić... Kto to?

– Był opiekunem naszej grupy... Jest o trzy lata starszy ode mnie. Wybacz mi, Hubert. Wiesz, ja nie chciałam. Tak jakoś wyszło...

– Jesteś zakochana? W tym... w nim, tym opiekunie?

– Czy ja wiem? Jest brzydki, niski i gruby... Nawet mi się nie podoba...

Wyjęła z torebki opakowanie chusteczek. Za chwilę rozzerwała je.

– Więc co?

– Zaimponował mi... Był taki niezwykły, inteligentny, wszystko wiedział... znał odpowiedź na każde pytanie... To bystry facet.

– I sprawny – wyrwało mu się z wnętrza.

– Nie, to nie to. Zauroczył mnie... Och, Hubert, tak mi przykro...

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – rzekł z goryczą. – I co dalej? Jak jeszcze masz dla mnie rewelacje? Jesteście razem, nie? No, powiedz. W końcu po to tu przyjechałaś...

– Tak mi ciężko teraz mówić ci o wszystkim. Jesteś wart lepszej ode mnie dziewczyny. Naprawdę. Inna gdzieś czeka na ciebie, znajdziesz ją... – rzekła bardzo cicho. Była bliska też.

– Widzę, że już o mnie pomyślałaś, dzięki... – ukłuł go jej słowa. – Już wiesz, co dla mnie będzie lepsze, kogo mam szukać i sobie znaleźć... Już wszystko obmyślałaś?

Rozumiał, że to pożegnanie, że z tym przyszła do niego i że ją stracił. Już stracił. Uświadomił to sobie nagle i boleśnie. Czuł, jak ucieka z niego energia, jak robi się przy nim pusto, jak strasznie bezradnie. Co miał zrobić? Co jeszcze powiedzieć? Jak konkurować ze zdrowym mężczyzną? Na dodatek, kiedy już wszystko było postanowione...

– Jeszcze spotkasz lepszą ode mnie – powtórzyła. – Na-

leży ci się. Nam widać nie było pisane – dodała ze sztuczną i wymuszoną lekkością. Zauważył to.

– A ty? – zaschło mu w ustach. – Co ty teraz?

– Chyba wyjdę za niego – rzekła, wycierając nos w chusteczkę. – Muszę.

– Magda, czy ty?

Rozpłakała się raptem.

– Jestem w ciąży.

To było jak kopnięcie w brzuch.

– W ciąży? – powtórzył bezgłośnie. – Jak to?

– Właśnie dlatego przyszedłam... specjalnie... – szlochała. – Chciałam sama ci powiedzieć, a nie żebyś się dowiedział od kogoś innego.

– Ty? W ciąży?

– Tak, wiem... zawiodłam cię. Wiem o tym. Ale nie chciałam, chciałam być inna...

Nie mógł uwierzyć. Jak to? Jego Madzia była w ciąży? To nic, że długo jej nie było, w końcu nic to, że kogoś poznała. Ale w ciąży? Jak to?

– A studia? – zapytał, choć to dla niego wcale nie było najważniejsze. – Przecież studia...

– Chcę wziąć dziekanę.

– Możesz?

– Jeśli nie, to najwyżej stracę rok.

– Myślisz, że będziesz szczęśliwa? Z takim... przypadkowym człowiekiem?

– Och, Hubert, to nie tak. Mikołaj jest uczciwy.

– A ja? Co ze mną?

– Hubert, ty zawsze będziesz bliską mi osobą – odparła, drąc nerwowo chusteczkę na strzępy. – Zawsze będę o tobie pamiętać. Przyśięgam.

– Choć tyle...

– Może gdybyś się zgodził, moglibyśmy być przyjaciółmi... Wiem, że to trudne. Ale może byśmy spróbowali?

„Przyjaciółmi? To żałosne. Jakie to żałosne! Czy jest coś bardziej żałosnego od takiej przyjaźni?” – krzyknęło w nim coś.

– Nie tego oczekiwałem – rzucił w gniewie.

– Uwierz mi, ja też nie o tym marzyłam, nie o Mikołaju. To miało być, tak tylko... tylko tak

sobie... A teraz? Może w przyszłym życiu?

Już nie mógł dłużej.

– Co ty chrzaniś, Magda! – wybuchnął. – To, co nas łączyło, do czego wyczołgiwałem się przez te miesiące, do czego piętałem się tak mozolnie, jest tutaj, w tym życiu. W tym cholernym życiu, Magda! I tylko ono się liczy, i jego przeżycie jest ważne, a nie odkładanie na inny, nierealny czas. Mam się pocieszać, że nic się nie stało, bo kiedyś może gdzieś? I liczyć, że to kiedyś i gdzieś nastąpi? Ty chcesz mnie uspokoić? Tak myślisz?!

Dziewczyna rozpłakała się na nowo. Płakała, a jego trawiła złość. W końcu podniosła się, a podarte strzępy chusteczki wrzuciła do torebki. Nie wiedział, czy już się uspokoiła, czy po prostu nic już dopowiedzieć nie mogła.

– Chyba już pójdę – powiedziała. – Przyjechałam tylko na trochę, żeby ci o wszystkim powiedzieć.

Nachyliła się, żeby go pocałować na pożegnanie, ale się odsunął. Nie mógł znieść tego, co mu zrobiła, ani jej wybaczyć.

– Idź już, Madziu, szczęśliwej drogi – odparł.

cdn.



Książka wydana nakładem
Wydawnictwa BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. (22) 877-27-05, 877-40-33
fax (22) 837-10-84

Wiersze Zbigniewa Nowaka

Wrzesień

*I znów jesień na imbirowym łosiu
Brodzi w liściach po kolana.
Rudbekiami trop swój znaczy,
Koralem ognik ozdabia,
Sypie owocem leszczyny.*

*I znów na popołudniowym tarasie,
Gdzie z wrzóscowego korzenia
Adventure dymną smużką
Między girlandy grzybów się wije
Słuchamy jak świetlne refleksy,
W witrażach drzew podgrzewane,
Grają jak na harfach pajęczyn
Pożegnalne nokturny
Odchodzącemu latu.*

KOŁOBRZEG, 24 WRZEŚNIA 2005 ROKU

Wrzosa

*Małe krzewinki porośłe na krańcach lasu,
Miododajne sąsiadki garbatego dębu
W szumie liściastym zasluchane uważnie
O jesiennej modzie na bursztynowe kolory.
Niepozorne na zawsze, aż nierzeczywiste,
W dłoni spragnionej subtelnych piękności
Do mnie przybyły tradycją związane.*

*Bo gdy świat za oknem srogą zimą stężenie,
Dobrze być razem w ciepłym pokoju
Z książkami jak drzewa mądrymi,
Czarować wrzosową historią ostępów,
A czarom poddawać się miękko samemu
W odurzeniu sennym bezdymnych trociczek
O koszyczkach liliowych, muśniętych księżycem,
Magicznych puzderkach z aromatem żywic
Przez wzruszone świerki obficie ronionych.
Z bezgłosem zmierzchoszarym skrzydeł nocnych*

[ptaków

*Zapadać się w puchu lirycznych przypomnień,
Żeby śnić dalej, co niedopowiedziane.*

KOŁOBRZEG, 28 WRZEŚNIA 2005 ROKU

Jesienna impresja

*Słońce coraz niżej świeci z ukosa,
Pajęczyny, jak szprosy bez szybek
W lukarenkach zapomnianych strychów
Świtem przystroją się diamentową rosą.
Na belce pod stropem śpi motyl,
Do pacierza za lekką zimę
Złożył admiralskie skrzydła,
Ziewa koszatka i oczy przymruża
I tawulec kończy kolację z ligustra.*

*Na stole bitwy, pośród łupin,
Przed francuską filiżanką
Tryumfuje dziadek do orzechów.
Już sekretnie zamglony horyzont
Miejsce wieczornych spotkań
Nieba miedzianego z płowymi łakami.
Płomyk świecy przygasa,
To nasza coroczna baśń jesienna,
Pora pastelowych magii.*

KOŁOBRZEG, 2 PAŹDZIERNIKA 2005 ROKU

Cierpienie i miłość

*Jedno i drugie mocą zrównane,
Oboje źródłem łez albo pieśni,
Niezwykłym bólem bywają
Wewnątrz trafionej piersi.*

*Różni, na antypodach mieszkając,
Innymi brzegami chadzają,
Dziwnie wierni sobie nawzajem
U jednego wezgłowia siadają.*

*Ono sztyłem na oślepie godzi,
Z tętnic ostatnie życie wytacza,
Ona spotkanych mocą niezwykłą,
Dotknięciem cichym szczerze obdarza.*

*I niszczy cierpienie, burzy, rujnuje,
Białe szkielety wokół rozrzuca.
Miłość wypięknia, jasnością uślicznia,
Szlachetną myślą maluje oblicza.*

POZNAŃ, 5 SIERPNIA 1982 ROKU

Hiobowa opowieść



Tomasz
Przybysz
ŻABNO

Najgorsze miałem jeszcze przed sobą. 31 października, a więc w dzień naszego niedosłusznego wyjazdu, wstałem osowiały i obojętny na wszystko. Śniadanie zjadłem bez apetytu i zabrałem się za poranną toaletę, gdy zadzwonił telefon.

Dzwonił wujek, pytając o godzinę wyjazdu. Gdy dowiedział się, że nie lecimy – dostał wręcz szału. Zaczął mi wygadywać, że to nie wina ambasady tylko moja, że gdybym mu coś powiedział, to zawiadziłby mnie do Warszawy swoim samochodem, że jestem nieudacznikiem – jednym słowem czułem się jak przestępca na rozprawie, opuszczony nawet przez adwokata. Po kilku minutach zadzwonił ponownie i powiedział, że w jego firmie wszyscy żalują, że nie poleciałem i że bardzo się na mnie zawiódł... Ja się w ogóle nie odzywałem, ale miałem już wszystkiego dosyć. I bez tego gadania byłem totalnie załamany. Gdyby nie Kasia, byłbym gotów sobie coś zrobić. Tylko myślałem o niej, że mogłaby się czuć winna mojej śmierci, powstrzymywała mnie od pokusy odejścia z tego okropnego świata.

Niemniej jednak przez cały dzień byłem jednym wielkim kłębkim nerwów. Dopiero po południu, włączwszy sobie moją ukochaną Celine Dion i słuchając jej romantycznych piosenek, z wolna zacząłem się uspokajać. Po kilku utworach poczułem, że po policzkach płyną mi łzy. Nie płakałem, tylko łzy płynęły mi same. Razem z nimi spłynęły z mojej duszy te wszystkie nerwy i wieczorem moja psychika była już w porządku.

1 listopada miałem ochotę uciec na cały dzień z domu. Już nawet planowałem wyjść na spacer i wrócić dopiero wieczorem, gdy wszyscy goście już sobie pojadą i nie będą zerować na mojej osobie. Ale ku mojemu zaskoczeniu cała rodzina zachowywała się nad wyraz miło. Widzieli, że jestem załamany i pewno dlatego nikt już nie mówił, że to wszystko stało się z mojej winy.

Zastanawiałem się później,

czy Kasia nie będzie się czuła przypadkiem winna całej tej sytuacji i nie będzie mnie unikać? Ale moje wątpliwości rozwiązały się całkowicie, gdy o następnym sympozjum zaczęła mówić w liczbie mnogiej: „zapraszamy nas”, „będziemy załatwiać”, „pojedziemy”. Ucieszyły mnie te słowa, gdyż uświadomiłem sobie, że nic się między nami nie zmieniło i nadal jest tą słodką Katrin, jak ją pieszczotliwie nazywałem, którą z każdym dniem coraz bardziej uwielbiałem.

Mijał tydzień za tygodniem. Depresja, którą przeżywałem przez cały czas, zaczęła z wolna zanikać. Ale wraz z nią zaczęła usychać miłość do Agnieszki, bo jej miejsce zajęła ... Kasia. Nie wiem, co się ze mną działo. Gdy usłyszałem jej głos w słuchawce lub gdy mnie odwiedzała, czułem się jak zaczarowany. Powoli zacząłem sobie uświadamiać, że tak naprawdę Kasia była mi bardzo bliska przez te wszystkie lata naszej przyjaźni, ale ten fakt dotarł do mnie dopiero teraz. Niestety, małżeństwo Kasi kładło się głębokim cieniem na tę miłość. Choć serce pękało z bólu, postanowiłem zapomnieć o tej miłości. Ale czy można rozkazać słońcu, by przestało świecić? Mimo tych wszystkich cierpień, jakie przeżywałem, nie potrafiłem wyrzucić Kasi z serca...

W Nowy Rok 2001 wkroczyłem z w jakimś nastroju. Nie wiedziałem, co mi przyniesie to nowe stu- i tysiąclecie, ale znając mój dotychczasowy żywot, nie spodziewałem się niczego dobrego. W pierwszych dniach stycznia otrzymałem wiadomość od Sharon, że nareszcie otrzymali bilety lotnicze, które wysłałem im w połowie listopada. Poczta postarała się w tym przypadku, aby przesyłka do Stanów wędrowała przez dwa miesiące, gdy zwykle listy docierały do Sharon w ciągu maksimum dwóch tygodni. Bardzo się ucieszyłem, bo bilety kosztowały 5.000 dolarów o doprawdy nie wiedziałbym, co powiedzieć Sharon, gdyby przesyłka zaginęła.

Jednak wkrótce mój dobry nastrój uległ pogorszeniu. Tydzień po Nowym Roku zadzwoniła do mnie Kasia. Dowiedziałem się strasznych rzeczy o jej mężu, o tym, jak ją traktuje, a ponieważ miała już tego wszystkiego dosyć, postanowiła wyjechać do

mamy do Bogatyni. Kiedy mi powiedziała, że właśnie się pakuje, nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Połowa mojego serca wołała: nareszcie! Natomiast druga połowa rozplakała się, gdyż ogarnęło mnie przeczcucie, że właśnie tracę ukochaną osobę. Obiecałyśmy oczywiście pisać do siebie listy i dzwonić, choć z powodu kosztów te rozmowy nie były zbyt długie, ale czegoś się bałem. Nawet Celine Dion nie pomogła mi przeprzeć smutku z powodu Kasi.

Marzec upłynął mi pod znakiem Internetu. Odkryłem coś, czego jeszcze nie próbowałem – grupy dyskusyjne. Właściwie miałem już kontakt z grupą dyskusyjną ze Stanów, ale z powodu bariery językowej byłem raczej biernym jej uczestnikiem. A tu dzięki artykułowi w jednej z gazet komputerowych dowiedziałem się, że istnieją także polskie grupy dyskusyjne. Poznałem wtedy wiele osób, z niektórymi nawet się zaprzyjaźniłem.

Ostatniego dnia marca wybrałem się na mały spacer do Krajowa – pobliskiej wsi położonej malowniczo nad Wartą. Od kilkunastu dni siedziałem bez przerwy w domu, więc z prawdziwą przyjemnością skorzystałem z okazji, aby się nieco przewietrzyć. Przez cały czas myślałem o Kasi, żałowałem, że jej nie ma, bo miałem straszłą ochotę ją zobaczyć. Moje życzenie spełniło się, ale z małym opóźnieniem. W poniedziałek, 2 kwietnia, po południu, zadzwoniła do mnie z domu. Postanowiłem wrócić i dać mężowi ostatnią szansę.

Wielokrotnie zastanawiałem się, czy wyjawic Kasi, co do niej czuję. Ale obawiałem się, że po takim wyznaniu zniknie z mego życia tak samo jak Agnieszka.

W końcu postanowiłem napisać do niej. Przeleżałem na papierze wszystko, co do niej czułem, ale nie mogłem zdobyć się, aby wysłać ten list. W pewien poranek majowy siedziałem przy śniadaniu, gdy zadzwonił telefon. Kasia chciała się ze mną pożegnać, gdyż wyjeżdżała na dobre. Była już częściowo spakowana i czekała na przyjazd rodziców. Obiecała jednak, że gdy przyjedzie po resztę swoich rzeczy, wpadnie do mnie na chwilę. Pomyślałem wtedy, że nadszedł czas na wyjawienie prawdy. Kiedy przyjechała, rozmawialiśmy tylko kilka minut, gdyż bardzo się spieszyła. Żegnając się z nią zdobyłem się na odwagę i wręczyłem jej moje wyznanie. Zaznaczyłem tylko, aby przeczytała list dopiero w domu. Kiedy wyszła, czułem się, jakby mi zabrano część siebie.

Mijał tydzień za tygodniem, a Kasia milczała. Wielokrotnie zastanawiałem się, co on teraz myśli o mnie. Przypominałem sobie, jak to Agnieszka „uciekła” ode mnie. Miałem coraz więcej wątpliwości, czy powinienem być wyznawać swoją miłość. Ale co się już stało, to się nie odstanie.

Kilkakrotnie potem rozmawialiśmy przez telefon, ale Kasia nigdy nie wspominała o liście. Opowiadała mi, jaka jest szczęśliwa w rodzinnym domu, jej psychika powoli wraca do normy. Pojałem, że ona nigdy nie odwzajemni moich uczuć i nigdy nie przekroczy granicy przyjaźni. Zawsze będę dla niej tylko przyjacielem i „starszym bratkiem”.

Ale mimo wszystko nadal jest najdroższą dla mnie istotą.

Czy będę na tyle silny, aby przeżyć jeszcze kiedyś kolejną miłość? I czy w ogóle warto?

koniec



FOT. TOMASZ PRZYBYSZ

Niekiedy trudno nam zaakceptować fakt, że inna osoba spostrzega przedmioty w sposób nieco od nas odmienny. Na przykład barwy spostrzega intensywniej i wówczas otaczający ją świat jest pełen kolorów. Bywa też inaczej, gdy niektórych barw nie rozpoznaje, najczęściej czerwonej i zielonej, co nazywamy daltonizmem. Albo też jest wyczulona na kształty i to co widzi odbiera przede wszystkim ze względu na formę. Może też być tak, że szczególne wyczulenie zmysłów dotyczy dźwięków.

Tak więc jedno dziecko w kotłujących się pod wpływem wiatru drzewach spostrzeże przede wszystkim koloryt liści, inne zmieniający się w ruchu kształt, jeszcze inne szum liści i szeleść gałęzi. Są też dzieci szczególnie wrażliwe na dotyk, i takie dziecko pogłodzi pień drzewa, a może i przytuli się do niego.

Indywidualnie zwiększona wrażliwość może dotyczyć każdego zmysłu, przy czym jest ona najwcześniej zauważalna w obrębie zmysłów smaku i węchu.

Niezwykle ciekawe i zarazem proste badania nad wrażeniami smakowymi i węchowymi przeprowadził jerozolimski uczyony Jacob Steiner. Na języku lub pod nosem noworodka, a także człowieka dorosłego, umieszczał krople różnych substancji, a na taśmie filmowej rejestrował reakcje mimiczne. Okazało się, że reakcje maluchów i dorosłych były takie same. Cukier wywoływał lekki uśmiech, kwas cytrynowy ściąganie ust, a chinina reakcję wstrętu. Dalsze badania wykazały, że jest tak niezależnie od wieku i płci, a także niezależnie od różnic kulturowych. Jedynie na smak słony noworodki początkowo nie reagowały wcale, dopiero po kilku dniach. Przypuszczalnie jest tak dlatego, ponieważ wody płodowe są słone i nastąpiła przejściowa adaptacja do tego smaku. Na podstawie tych i wielu podobnych eksperymentów wnioskowano, że smak słodki, kwaśny, gorzki i słony są wrodzone oraz że są podstawą wszystkich innych kombinacji smakowych. Smaki przypominają więc kolory: z czterech barw podstawowych (czerwonej, zielonej, żółtej i niebieskiej) składają się wszystkie pozostałe.

O wrażliwości smakowej

Indywidualna wrażliwość

noworodków była już mowa w felietonie „Ciekawski język”, tu jednak zagadnienie zostaje poszerzone. Warto bowiem wiedzieć, że pomimo takich samych reakcji mimicznych u noworodków i osób dorosłych, odbiór smakowy człowieka dorosłego znacznie się różni od posiadanego przez noworodka czy małe dziecko, bowiem na wrodzone właściwości nakłada się doświadczenie, kształtujące określone preferencje. Dużą rolę w wyborze ulubionych pokarmów odgrywa prawidłowe pod względem wychowawczym karmienie dziecka oraz różne doświadczenia emocjonalne związane z jedzeniem. Awersja w stosunku do pewnych potraw, na przykład do szpinaku czy buraków, jest nabyta. Może ona wynikać bardziej z barwy potrawy, niż z jej smaku. Albo też szpinak skojarzył się z przymuszaniem dziecka do jedzenia. Gdy niechęć do określonego pokarmu zostanie nabyta we wczesnym dzieciństwie, jej źródła pozostają zazwyczaj nie rozpoznane.

Poza sytuacjami ekspery-

mentalnymi w czasie których starannie eliminowany jest wpływ bodźców ubocznych, w sytuacjach codziennego życia doznawanie smaku zależy także od zapachu oraz od widoku pokarmu. Smak jest więc odczuciem złożonym i wiemy, że są ludzie-smakosze o niezwykłej „wrażliwości podniebienia”, która jest wrażliwością określonych części mózgu.

Również zapachy noworodki odczuwają w sposób podobny do nas, reagują bowiem żywieniem na zapachy przyjemne (na przykład zapach czekolady, miodu, banana, wanilii), a reakcją wstrętu na nieprzyjemne (na przykład na zapach zgniłego jajka). O tym wiemy także z badań Steinera, który kilkunastu noworodkom, nie mającym jeszcze w ustach pokarmu, podtykał pod noski nie tylko przyjemne, ale i obrzydliwe zapachy. Najbardziej radośnie reagowały one na zapach miodu.

Spośród wielu tym podobnych badań najbardziej wzruszające wydają się być badania nad odróżnianiem przez

noworodka zapachu swojej matki i jej mleka. Przy buzi niemowlaka umieszczano z jednej strony tampon nasączony mlekiem jego matki, z drugiej matki innego dziecka. Tylko 1/3 dwudniowych niemowlaków odróżniała zapach mleka swojej mamy – ale już 3/4 ośmiodniowych i wraz z liczbą dni procent ten wzrastał. Małe dzieci zawsze przedkładają znane nad nieznanie i stąd taka ich reakcja.

Pomijając laboratoryjne eksperymenty, niemowlę odbiera świat zmysłów jako mieszaninę zapachów i dźwięków, to, co widzi, zarazem pachnie, dotknięcie skóry może być słodkie albo i gorzkie. Po prostu wrażenia zmysłowe jeszcze się nie zróżnicowały, do czego potrzebny jest określony stopień rozwoju układu nerwowego. Tak więc dopiero stopniowo noworodek uczy się oddzielać i rozpoznawać poszczególne wrażenia zmysłowe, jakie są stałymi składnikami jego otoczenia. Ich stałość zapewnia małemu dziecku poczucie bezpieczeństwa.

Stan mieszania się wrażeń zmysłowych nazywa się synestezją i dziecko szybko z niego wyrasta. Jednakże u jednej na 250 000 osób synestezja pozostaje trwałą właściwością. Mieszanie się zmysłowych doznań może dotyczyć dwóch lub kilku zmysłów i może występować w różnych kombinacjach. Na przykład można widzieć dźwięki i słyszeć barwy. Można słowa dostrzegać w kształtach, a smak może mieć swój określony kolor. Synestezja jest zjawiskiem niezwykłym, bowiem odbiega od oczywistych doświadczeń większości ludzi. Pomimo prób jej wyjaśnienia jeszcze się to w pełni nie udało. Tak więc wciąż bez odpowiedzi pozostaje pytanie, dlaczego charakterystyczny dla wczesnego dzieciństwa sposób odbierania wrażeń zmysłowych u niektórych ludzi utrzymuje się przez całe ich życie.

IRENA OBUCHOWSKA

Z KSIĄŻKI „KOCHAĆ I ROZUMIEĆ” CZ. III



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Codziennie pod górę⁽¹³⁾

Siedzę przy biurku z lat Sosiemdziesiątych ubiegłego wieku, a za mną na kanapie śpią moje ulubione domowe zwierzęta. Dziś mam taki fajny, normalny dzień. Mało jest takich. Ostatnio było mi bardzo ciężko, bo podczas terapii mówiliśmy o moim związku z Markiem. Przez lata ze wszystkich sił starałam się mój związek widzieć tylko w jasnych barwach, a on był po prostu zwyczajny – byli w nim i blaski, i cienie.

Idealizowanie Marka i nagły przebłysk, że żyję w wymyślonej przez siebie bajce, było dla mnie bardzo trudne. Czułam mnóstwo złości, która utrudniała jasność myślenia. Po jednej z rozmów z terapeutą zdecydowałam się powiedzieć Markowi, co mnie boli. Już wcześniej wspominałam, że chcę, aby bardziej włączał się do obowiązków domowych i spędzał ze mną więcej czasu. Któregoś wieczoru podeszłam do niego i powiedziałam: „Chciałabym czuć się ważna dla ciebie. Zawsze ważniejsza jest twoja rodzina i to, czego oni chcą od ciebie, a nie ja. Czuję się jakbym była na do-czekkę”.

Gdy to powiedziałam, poczułam niepokój i bezradność. Czy o to mi właśnie chodzi, czy dobrze to wyraziłam? Zaczęłam płakać. Marek wydawał się zaskoczony, trochę zły, miałam wrażenie, że mnie nie rozumie, a ja nie miałam siły się w to wszystko zagłębiać. Zapewniał mnie, że jestem najważniejsza, że przecież stara się wszystko robić, czego chcę, ale ma dużo stresów w pracy i najczęściej po prostu jest tak zmęczony, że nic mu się nie chce, ale postara się przełamać, więcej ze mną wychodzić. Patrzyłam na niego jak przez szybę. Była zła i na siebie, i na terapeuta, że w ogóle Markowi o tym mówiłam. Na koniec tej rozmowy, gdy moje emocje opadły i poczułam dziwny spokój powiedziałam: „Wiem, że trudno jest ze mną żyć”. „Ze mną pewnie też?” – zapytał. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że kiedy dobrze się czuję, wszystko jest świetnie, gdy źle, wszystko jest do niczego”.

Od tej rozmowy widzę, że jest między nami inaczej, bar-

dziej prawdziwie. Może oboje zaczęliśmy widzieć siebie nawzajem, a nie nasze wyidealizowane obrazy. Rzeczywiście, kiedy skupiam się na swojej pracy, zainteresowaniach, znajomych, Marek wydaje mi się cudowny. Nie potrzebuję od niego nic więcej oprócz poczucia, że mnie kocha, że jest, że mogę na niego liczyć. Gdy mam złe dni i nie mogę się na niczym skupić, zaczynam oczekiwać, że on jak rycerz na białym koniu uratuje mnie od poczucia beznadziejności. Nagle widzę porozrzucane przez niego skarpetki, brudne naczynia, które mógł umyć wieczorem i czekam aż zadzwoni z pracy albo napisze coś tak cudownego, że sens życia wróci.

Od kiedy wiem, że sensu muszę szukać w sobie, jest mi trochę lżej. Staram się nie obwiniać Marka za moje złe humory. Chyba naprawdę musi mnie kochać, że znosi to wszystko i po moim wybuchu płaczu z powodu obciążenia domowymi obowiązkami mówi: „Wiem, że sam powinienem pamiętać, ale proszę mów mi zawsze, co mam zrobić, to po prostu to zrobić”. I robi. Poprosiłam o umycie okna – umył, o pozmywanie – pozmywał. A ja pozostaję z poczuciem, że chyba faktycznie jestem wariatką, ale szczęśliwą wariatką.

Ostatnio trochę martwiłam się swoją pracą, bo trochę słabsza jest moja współpraca z wydawnictwami. Nadal boję się zmian, ale to fajne uczucie, bo poczułam się dość pewnie na rynku wydawniczym. Nie jest dla mnie problemem, oczywiście w lepszy dzień, nawiązać kontakt z nową redakcją i pytać o możliwości współpracy. Uczycie się obcych języków? Ja po przerwie znów wzięłam się za angielski z nową aplikacją mobilną i mam wrażenie, że umiem coraz więcej. Po co? Zawsze chciałam mówić po angielsku, rozumieć teksty piosenek, przeczytać w gazecie prosty tekst. Uśmiecham się na myśl, że ośmieliłam się na tyle, że w sytuacji kontaktu z obcokrajowcem, próbowałabym rozmawiać. Nie wstydziałabym się swojej wymowy i błędów. Nie muszę być perfekcyjna.



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Poczucie, że nie muszę być najlepsza w tym, co robię, też dodało mi pewnego luzu. Od kiedy pamiętam, starałam się idealnie wyglądać, być miłą, grzeczną, tolerancyjną, zawsze pomocną, nie podlegającą żadnej krytyce. Tak nie da się żyć, to straszne obciążenie i życie w straszliwym napięciu, gdy cały czas kontroluje się każdy gest, każde słowo. Czasem nadal tak mam, nie przeszło całkiem, ale jest dużo lepiej. Potrafię usiąść na kanapie i patrzeć przez balkon na drzewa bez poczucia winy, że nic nie robię. Nie wiem, skąd mi się wzięło takie poczucie, że muszę coś robić, być aktywna, by zasłużyć na uwagę, akceptację, miłość. Nawet przy Marku latami miałam tak, że gdy on siadał zmęczony po pracy przed telewizorem, ja zrywałam się i kręciłam po domu, robiąc różne rzeczy. Strasznie to było dziwne, bo tak biegając po mieszkaniu czekałam na jego aprobatę i nawet często ją słyszałam, ale i tak czułam złość. Tylko na co? Na to, że jest zmęczony? Na to, że jeśli chcę, żeby mi w czymś pomóc, to nie potrafię powiedzieć, poprosić, tak jak mówił? Wydaje mi się, że ten przymus powodował napięcie i nie potrafiłam posiedzieć z nim razem chwilę przy filmie i cieszyć się jego obecnością. Wczoraj było inaczej. Zamiast wykonywać wymaginowane niezbędne prace domowe, po prostu z nim usiadłam. Kiedy ot tak sobie, dotknął mojej ręki, łzy zakręciły mi się w

oczach, poczułam, że jesteśmy razem, że jestem dla niego ważna.

Jutro spotykam się z moim terapeutą. Chodzę do niego co tydzień. Gdy wchodzimy na trudne tematy, mam ochotę uciekać. „Może co dwa tygodnie chodzić?” – rozmyślam. Dawniej uciekałam. Teraz już nie. Przychodzę co tydzień i mówię: „Chyba to było bardzo trudne dla mnie, o czym mówiliśmy, bo chciałam uciec”. I uśmiechamy się oboje. Szkoda, że to terapeuta, a nie przyjaciel, którego można zapytać, co słychać. Pan Adam czasem opowiada mi o sobie, ale to trochę inaczej. Ostatnio powiedziałam mu, że chciałam już skończyć terapię i sama podjąć taką decyzję. Że boję się, że jak odejdzie na emeryturę, to znowu poczuję się opuszczona. Nie pamiętam, co mi odpowiedział.

Ostatnio otworzyłam się bardziej na innych. Spotykając znajomych staram się i im, jak dawniej sobie i Markowi, nie stawiać wygórowanych oczekiwań, ale tak po prostu, posłuchać ich historii i iść dalej. Często rozmawiam z ciocią przez telefon. To jedyna najbliższa mi osoba z rodziny, z którą mam kontakt. Zrywałam go na długie okresy. Najpierw, gdy zaczęłam pić, a później nie wiem, z jakiego powodu. Pewnie jak przy większości moich zerwanych kontaktów: niespełnienie oczekiwań, trochę przykrych emocji i od razu decyzja o zerwaniu relacji. S.A.

FILANTROP NASZYCH CZASÓW

Miesięcznik

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Marcin Bajerowicz – redaktor naczelny,
Karolina Kasprzak – zastępca redaktora
naczelnego, Krystian Cholewa,
Agata Krystosik-Gromadzińska,
Monika Janc, Marek Kalbarczyk,
Zbigniew Nowak, Andrzej Rossa.

ADRES REDAKCJI:

60-681 Poznań
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
tel. 822-64-54, kom. 608-311-903
e-mail: mbajerowicz@wp.pl
www.filantrop.org.pl

WYDAWCA:

Fundacja Pomocy Osobom
Niepełnosprawnym „Filantrop”
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
60-681 Poznań
tel. 608-311-903, 61-8226-454,
www.filantrop.org.pl

KONTO:

BZ WBK SA VI/O Poznań
28-1090-1362-0000-0001-0665-8259

DRUK:

DRUKARNIA „KOM-DRUK”
Grzegorz Komisarek
ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań
tel. 618 172 206
e-mail: komdruk@wp.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo
skrótów i zmian w nadsyłanych
materiałach oraz nie bierze
odpowiedzialności za ich autorstwo.
Za treść reklam i ogłoszeń
redakcja nie ponosi odpowiedzialności.
Nakład: 2.000 egzemplarzy.



Jerzy
Szulc
WARSZAWA

RENCISTA

Jeżeli bez przerwy
Będą drożać leki,
To pójdzie do piachu,
A nie do apteki.

POSTĘP

Nogi pędziły
Co sił
Krok do przodu
I dwa w tył.

LAURY

I wielkie zwycięstwo
Wielką klęską bywa,
Gdy się potem w chwale
Tylko odpoczywa.

GOSZCZENIE

Najbardziej upierdliwy
Jest taki gość,
Który nie wyczuwa,
Że go mamy dość.

Fraszki

ŚWIR

Poszło mu gładko,
Grał rolę główną,
Choć pod sufitem
Miewał nierówno.

HARCOWNIK

Kocica śpi w łóżku,
A on myszkę bierze
I pół nocy bawi
Się przy komputerze.

TOLERANCJA

Spolegliwych wszelkie
Dewiacyjne zmyłki
Od zera do górnej
I dolnej odchyłki.

FILOZOFIA

Płynne słowotoku
Nie przelewki różne
I z pełnego w pełne,
I z pustego w próżne.

PROWOKACJA

Nie dotarła
Ryba do tarła
Bo przynętę
Z haczykiem zeżarła.

INTERNAUTA

Tak mocno przywiązał
Się do komputera,
Że do żony haker
Już mu się dobiera.

NIEOBLICZALNI

Dwoją się i troją
Zajęci karierą,
A jednak rośnie
Im na mniej niż zero.

ŚLALOM

Jedno bydlę pijane
Za kierownicą
Prowadzi zygakiem
Sto koni ulicą.



TURYSTYKA 2020



RYS. ZBIGNIEW NOWAK

TADEUSZ MARYNIAK
WARSZAWA

Aforyzmy

Im większa wiedza,
tym większe
horyzonty niewiedzy.

Przemijamy szybciej,
niż nam się wydaje.

Do piekła
zawsze mamy z górki,
a do nieba pod górkę.

Dobrze,
że zszedł na psy,
a nie na inne
zwierzęta.

Chcesz długo żyć?
Licz sekundy,
a nie lata.

Dopóty był sobą,
dopóki nie został kimś.

Kondrat Puszorek już po karantannie

Zes Kóndratem Puszorkim spotkaliśmy się ostatnio na Wawrzyńca kole Sanepidu. Roboszek wyglądał niezakonieczanie, jak zdeprytowany karton po margarynie. Bez to, że na sznupie miał zakrywkę, był podobny do gangstera, który co dopiero odsiedził wyrok.

Ryniu wyinc zawołał:

– Kóndrat, co jessta zes tobom?

Istny ino wzdychnył i wybrdyknnył:

– Zakóńczyłm karantanne (kwarantannę).

I zaś nom sprawozdół, jak sie wplóntoł wew kontakty zes wirusem.

Było to tak. Siora Kóndrata

kómplowała sie zes Kaczmarkowom. Istno zaś robi wew Dómu Pomocy Społecznyj, a tam najdlu koronawirusa. Styndy tam całkom eke wystali na karantanne, a te musieli zaś potem siedzieć wew chacie bez dwa tygodnie. I tak wew jednym bloku na czwartym piyntrze kiblowali Kaczmaryszki, a na pierwszym Kóndrat. Wiara nazorgowała sobie futru, a co kilka dni im jeszczuk dowozili.

Żandarmy podjyżdżali co po chwiltka i kozali bez okno winkować pazurami (machać rękoma). Zaś późni prowadzili kontrol aparatym elektronicznym. Żeby przepynkać, Kóndrat na śniadanie jodł naworke, na łobiod galopzupke i rzodkie

pyry zes myrdyrdom. Na kolacjom do żdżarcia gotowoł ajntopf. Bez to tyż istny zrobiuł się ciynciejszy niż rura łod kanalizy.

Na kóniec Puszorek spytoł, czemu wiara nie widuje ciotki Adeli w kolónialce. Ryniu go objaśniuł, że ciotka mo swój wiek, styndy należy do ekspozycji.

– A jak staro jest pani Adela? – zdziwił się Kóndrat.

– No, mo powyżyż piynćdziesiunciu lat plus wat – godo Ryniu.

– Acha – stynknył Puszorek – czyli istno należy do młodzieży trzeciogó wieku, siedymdziesiunt plus, szak!.

I tak się rozstalism.

Zaś pomysłołem, że niestrasne som różniste, paszkodne roboty, niż jakasi karantanna, wej.

WOSZ BOLECH
ZES CIERPIYNGÓW

Wiersze Aldony Wiśniewskiej

*

Błękitne jak woda, a gorące jak rozgrzany kamień.
Moje niebo, promienne całe,
Pełne westchnień bez wytchnienia,
Kamienne niebo, które pot wyciska,
Od stóp do głowy niesie żar.
Macham wachlarzem, wiatr umarł w pół gestu.
Upał miłością darzy pulsujące powietrze.

*

Betonowa dłoń w pięść zaciśnięta agresywnie
Uderzyła znienacka w piękno beztroskiego ogrodu.
Pomnik cywilizacji uniósł się z cokołu
I dłoń mocarną wysunął po to, co piękne.
Zmiażdżone kwiaty padły pod ciosami olbrzyma.
Krzew, gdyby mógł, uciekłby w nieznane,
Nie żyją już malwy, gladiole,
Róże długo wiły się w udreće.
Betonowa łacha zalana bezmyślnie
Pokryje rany po bluszczu.
Nie odrośnie już barwny szpaler.

*

Kolor sierpnia przechodzi w znużenie.
Upał ławą przewala się leniwie.
I tylko woda chłodzi, już nie powietrze.
Lecz gdzie ta woda? Ni chmur, ni deszczu.
Gorejące miasta stoją w płomieniach słońca.
Łęk budzą zwiędłe kwiaty, wyschnięte usta,
Gardła umarłych studni.

*

Polubiłam mowę lasu,
Który wzywał mnie co dnia
Pod swe skrzydła przepastne
Zielenią i mrokiem.
Polubiłam zgiełk miasta,
Bełkot ulic, niewyraźny, głośny.
Tutaj zawsze się coś dzieje
W kąpielu dźwięków bezbrzeżnej.
Ruszę na podbój świata,
W dłoni trzymam bezmiar.

*

Knowania nocy pokrzyżował brzask.
Pójdiesz lasem, potem zakręt,
Tam złote zboże wygrzewa się w słońcu.
Świergot skowronków, niebotyczne granie,
Miękkim zaklęciem południa
Przystanęło nad nami.
Czy zerwiesz kwiat omdlały od upału,
Czy położysz się na ogrzanej ziemi.
Wszędzie sierpień sphywa kaskadami.
Bliżej i bliżej, ku końcowi lata.
I tylko my przeżyjemy lato.
Zginą łany zbóż i chabry, i maki.

*

Czy kochasz nas, o dobrotliwe niebo?
Utkane chmurami jak puchem,
Gdy cierpisz, cierpimy wraz z tobą.
Gdy szłochasz, wyciskasz łzy
I złościsz się. Biedni my na Ziemi.
Lecz ty nas kochasz.
Ciepłem swoim otulasz nasze ciała.
Podniebną muzykę tego lata
Przekuleś w upał.
Nie zawiedziesz, gdy upał,
Otulisz zimę,
Początkiem jesteś i końcem.

*

Cierpię niespełnień jedyne spełnienie.
Przylaszczki lat wędrują wciąż pod górę.
Staram się odrzucać wszystko w niepamięć,
Co niesie nieubłagana mgławica nicości.
Przypuszczam, że już niewiele, może mniej,
I z moim niespełnieniem odejdę w przeszłość.
Będę się uczyć mówić – ona była.
Nie będę wiedzieć, kim.
Może pasażerem, siostrą, malarką?
Istnieniem ulotnym, pełnym cierpienia.
Krzykiem w pustym pokoju.
Ani sobą, ani kim innym.
Ani winna, ani niewinna.
Była...

IWONA WIERZBA

Śpiące dzieci

*

*rączki moich dzieci
dwie
przy sobie
chwile
pełne snów
ciepłe
jak beztraska
pachnąca nocą*

*

*dzieci
manna ufności
urodzona w niebie
do szczęścia
tyle w nich ciepła
że chyba wyparują
z siebie
przez sen*

Przydatna aplikacja

Z myślą o osobach z niepełnosprawnościami poszukujących informacji powstała aplikacja pod nazwą: „E-Niezbędnik – praktyczne kompendium wiedzy dla osób z niepełnosprawnością”. Aplikacja została uruchomiona w ramach drugiej edycji ogólnopolskiej kampanii „Stop Barrierom” na rzecz osób zagrożonych wykluczeniem społecznym z powodu niepełnosprawności. Kampania jest kierowana do osób z niepełnosprawnościami, a także do polskich przedsiębiorców i instytucji.

Kampania „Stop Barrierom” – jak czytamy na stronie www.stopbarierom.pl – to ogólnopolski projekt stanowiący odpowiedź na rządowy

program „Dostępność Plus”. Drugą odsłoną projektu koncentrować się będzie na zatrudnianiu osób z niepełnosprawnościami, a także na dostarczaniu niepełnosprawnym pracownikom oraz pracodawcom wiedzy i wsparcia w zakresie zmieniających się przepisów prawa.

Aplikację „E-Niezbędnik” uruchomiła Fundacja „Neuron Plus”, realizująca wyżej wspomnianą kampanię. Dzięki temu bezpłatnemu narzędziu osoby z niepełnosprawnościami będą mogły zapoznawać się na bieżąco ze wszystkimi sprawami dotyczącymi zakażenia COVID-19, a ponadto z aktualnymi i rzetelnymi informacjami dotyczącymi pomocy

finansowej i świadczeń przysługujących im w okresie pandemii.

Uzyskają między innymi informacje na temat dofinansowania kosztów opieki w warunkach domowych, programów wsparcia realizowanych przez PFRON oraz świadczeń emerytalno-rentowych.

Aplikację można pobrać w sklepach App Store i Google Play. Narzędzie jest proste w użytkowaniu. Jak zapewniają twórcy, z narzędzia mogą bez przeszkód korzystać osoby z niepełnosprawnościami narządu wzroku, dzięki możliwości dostosowania wielkości czcionki i kontrastu.

Istotnym elementem aplikacji jest również wirtualny doradca zwany „Neuronem”, który wspiera osoby z różnymi niepełnosprawnościami w poszukiwaniu informacji pozwalając dotrzeć do najbardziej przydatnych treści. Użytkownicy aplikacji mogą też zapisywać wyszukiwane informacje jako „ulubione”, co pozwala na łatwiejsze ich odszukanie. *Oprac. KK.*

Nowa siedziba

Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie w Poznaniu informuje o zmianie siedziby Filii MOPR Jeżyce, która dotychczas znajdowała się przy ulicy Długosza 18. Od 1 września tego roku Filia MOPR Jeżyce mieści się przy ulicy Sienkiewicza 22. Z usług Filii MOPR Jeżyce korzystać mogą mieszkańcy poznańskich dzielnic: Jeżyce, Winiary, Sołacz, Ogrody, Wola, Podolany, Strzeszyn, Krzyżowiki-Smochowice, Kiekrz oraz Stary Grunwald.

Od września obsługa osób potrzebujących wsparcia odbywa się na takich samych zasadach jak wcześniej. Wchodząc do instytucji obowiązkowo należy zakryć usta i nos, zdezynfekować ręce oraz zachować odpowiednią odległość od innych osób. Aby skonsultować się z pracownikiem MOPR, należy wcześniej telefonicznie

umówić wizytę. Wystarczy zadzwonić pod numer telefonu: (61) 878 18 88. Wizyty w Filii MOPR Jeżyce odbywają się w punkcie obsługi klienta, na parterze budynku.

W Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie w Poznaniu osoby z niepełnosprawnościami mogą załatwić sprawy dotyczące między innymi specjalistycznego wsparcia, pomocy dziennej i całodobowej czy uzyskać informacje na temat prawa do świadczeń opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych. MOPR oferuje profesjonalne wsparcie osobom i rodzinom znajdującym się w trudnej sytuacji życiowej – za pośrednictwem tej instytucji uzyskać można pomoc finansową oraz rzeczową. Szczegółowe informacje dostępne są na stronie: www.mopr.poznan.pl *Oprac. KK.*

DRUKARNIA
KOM - DRUK

DRUK DO FORMATU B2
ULOTKI I PLAKATY
WIZYTÓWKI
KSIĄŻKI
FOLDERY
KALENDARZE
SZTANCOWANIE
PROJEKTOWANIE GRAFICZNE
DRUK OFFSETOWY I CYFROWY

ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań
tel. 618 172 206
www.komdruk.pl | mail: komdruk@wp.pl



NEUROLOGICZNY NIEPUBLICZNY ZAKŁAD OPIEKI ZDROWOTNEJ

CENTRUM LECZENIA STWARDNIENIA ROZSIANEGO OŚRODEK BADAŃ KLINICZNYCH

im. dr n. med. Hanki Hertmanowskiej

Jeżeli u siebie lub bliskiej Tobie osoby zaobserwujesz:

- **drżenie kończyn (szczególnie rąk) podczas spoczynku**
- **zesztywnienie ciała – zwłaszcza rano**
- **wolniejsze wykonywanie zwykłych czynności**
- **trudności z rozpoczęciem chodu**
- **upadki**

lub gdy lekarz rozpoznał

CHOROBE PARKINSONA

zapraszamy do naszego Ośrodka w Pleszewach.

Oferujemy możliwość przystąpienia do projektów leczenia.



Zapraszamy:

62-064 Pleszew, ul. Fabianowska 40

Rejestracja telefoniczna (poniedziałek-piątek w godz. 10.00–16.00):

61-863-00-68 lub 506 444 900

e-mail: neurologiczny.nzoz@gmail.com

www.hertmanowska.pl